Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1892. Rok XV



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

VIII.

Jeszcze o dzikim koniu.*)

W mrocznych eonach geologicznych epok gubią się pierwotne formy zwierząt kopytnych, z których ostatecznie u końca łańcucha rozwojowego ukształca się koń dzisiejszy. Jeszcze w neogenie 3-cio rzędnej formacyi żyje *Anchiterium Hipparion* z trzema kopytami, później *Hypoterium gracile*, a wreszcie koń. Mnóstwo odmian przechodowych wymieniają geologowie, dając im najrozmaitsze nazwy, a cały łańcuch rozwojowy tak jest porządny, organizacya w ciągu okresów geologicznych, postępując ciągle naprzód, tak się udoskonala, że wreszcie osiąga w koniu według naszych pojęć szczyt swej doskonałości pod każdym względem.

Z bardzo obfitej ilości szkieletów koni z epoki dyluwialnej w Europie wnosić można, iż zwierz ten w czasach tych bardzo licznie tutaj się znajdował. W r. 1867 odkrył de Ferry pod skałą Solutré (w departamencie Saony) około 2.000 szkieletów koni, leżących na jednej kupie pod stromą skałą, istna zagadka dla ludzi, w najrozmaitszy sposób rozwiązywana, z pomiędzy których najprawdopodobniejszym jest domysł Adryana Arcelin, iż w miejscu tem odbywał przedhistoryczny mieszkaniec Galii łowy na dzikie konie, które gnane gwałtownie, spadały tu ze stromej skały i śmierć znachodziły.

W roku 1774 w odkrytej grocie Gailenreuth znaleziono pod wiekowymi soplami stalaktytów, w pośród tysięcy szkieletów zwierząt odległych epok, także mnóstwo szkieletów koni dwóch odmian, zbliżonych zupełnie do obecnie żyjących: *Equus adamiticus* i *Equus caballus*. Rasy te położyć musiały podstawy do owych koni udomowionych w Europie o temperamencie spokojnym. Dwie owe rasy z groty Gailenreuth odnaleziono i sprawdzono także na innych miejscach. Jedna z nich w cokolwiek starszych pokładach zagrzebana, wzrostu średniego, o silnym rozwoju kośćca

*) W szeregu artykułów niniejszej rozprawy nie mógł znaleźć miejsca we właściwym porządku dalszy artykuł o dzikim koniu, o którym już w nrze 5. „Łowca“ traktowano. Podajemy go więc z tem przekonaniem, że każdy ustęp tej pięknej pracy, opartej na tak gruntownych i obszernych studyach, będzie przez czytelników naszych życzliwie przyjęty. *Przyp. Red.*

i wielkiej stosunkowo głowie, druga zaś w młodszych pokładach, częściej występująca, do której należą zwierzęta o wiele słabiej zbudowane. Są to prawdopodobnie Owena: *Equus fossilis* i *Equus spelaces.*

Na obu półkulach sprawdzono podziśdzień szczątki dyluwialnych koni, a w niektórych miejscowościach odkryto szkielety tego zwierzęcia w pokładach trzeciorzędnych nawet, między innymi w Europie na brzegach górnego biegu rzeki Arno, w Azyi u stóp gór Himalajskich; i w pliocenie Ameryki, nad rzeką Misuri, znaleziono szkielet zwierzęcia zupełnie do konia zbliżonego.

Rozmaitego rodzaju stosunki kosmiczne dozwoliły widocznie, iż w pewnych miejscowościach, nadzwyczajnie od natury wyposażonych, następywały szybciej po sobie coraz to doskonalsze formy rozwojowe, i stąd może pochodzi, że w rozmaitych pokładach geologicznych spotyka się szczątki jednego i tego samego zwierzęcia. I uderzającą jest tu rzeczą, iż właśnie w owej błogosławionej krainie, zakrytej od nieprzyjaźnej północy, w sięgającym obłoków paśmie gór Himalajskich, w owej płodnej kolebce ludów, obok szkieletów Hipariona, znaleziono w równoczesnych pokładach i szkielety konia. Widocznie więc pod tem dobroczynnem podniebiem Wschodu, skąd i wyżej uorganizowane plemię naszych praszczurów podbiło niegdyś autochtonów (?) Europy, wytworzył się daleko wcześniej jak w innych miejscowościach ziemi także i koń.

Zbyt odważnem byłoby twierdzenie, iż koń domowy, przybywszy do Europy wraz z ludami z dalekich stron Azyi, stał się i nadal wyłącznem zwierzęciem użytkowem. Wszystko zdaje się wskazywać, iż dopiero pod wpływem tego konia azyatyckiego, zwierzęcia uszlachetnionego i dalej w rozwoju organicznym posuniętego, wytworzył szczep Indo-Aryów ową rasę koni użytkowych na gruncie rasy dzikich koni tubylczych.

Dorywczy pogląd na zamierzchłą przeszłość konia nie może nas wprawdzie doprowadzić do całkiem pewnego wniosku, iż koń dziki, spotykany w Europie w czasach historycznych, a przydybywany i na ziemi naszej aż do początku wieku XIX., był w samej rzeczy zwierzęciem dzikiem, a nie zdziczałem, lecz wiele bardzo okoliczności przemawia za tem, iż pomiędzy końmi dzikimi, o jakich wspominają dzieje Europy w ogólności, a w szczególności na ziemi naszej, znajdywało się bardzo wiele epigonów, których antenaci nigdy nie pozostawali pod jarzmem ludzkiej niewoli. Nie ma zwłaszcza na to żadnych dowodów, iż wizerunki najdawniejsze konia, jakie posiadamy, a pochodzące z groty Bruniquel z okresu lodowego Europy, jeżeli tylko nie powątpiewamy o ich autentyczności, odnoszą się do konia udomowionego. Co więcej, cały sposób życia ówczesnego grot i pieczar mieszkańca nie wskazuje na to, aby on miał i mieć potrzebował udomowionego konia, z wielką zaś prawdą wykonane wizerunki tego zwierzęcia, rażąco odróżniające się od innych próbek tego rodzaju współczesnego z nimi wieku, każą się domyślać, iż ma się tu do czynienia albo z bardzo zręcznym humbugiem, wyzyskującym dobrą wiarę przyrodników, albo iż w miejscu tym koncentrował się artystyczny zmysł człowieka lodowcowej epoki.

Wszelkie wyobrażenia konia z owych epok mogą się odnosić do zwierzęcia dzikiego, podobnie jak wizerunki przedhistorycznego europejskiego słonia, które wyryte na płycie kości słoniowej znaleziono w grocie Madelaine. Słoń ten *(Elephas primigenius)* nie należał już ponoś do zwierząt udomowionych, a wizerunek jego, podobnie jak konia i rena, był widocznie dziełem natchnionego łowcy, który go pokonał.

Z czasokresu budowli nawodnych tak skąpe i niedostateczne są wiadomości o koniu, iż o udomowieniu jego w tej epoce również nic pewnego powiedzieć się nie da.

I trudno przypuścić, aby zrzadka po Europie rozsiadła ludność przedhistoryczna potrafiła w zupełności ujarzmić bardzo obfity, jak to wskazują szczątki kopalne, zwierzostan koni. Długie wieki musiały mijać, nim człowiek potrafił w ogóle podbić dla swych usług to zwierzę, a później, wobec wrodzonej dzikości i niesforności tych zwierząt w stanie dzikim, starać się musiał w ugłaskanym już nieco przychowku wyrabiać własności pożądane, podczas gdy zapomagając się zwierzętami, wziętymi ze stanu natury, musiałby bezustannie walczyć z ogromnymi trudnościami, na jakie się osobliwie w udomowieniu konia napotykać musi. Nasuwa się zatem sama przez się myśl, iż wobec stad dzikich zupełnie koni, o których przyswojenie następnie się już nikt nie kusił, utrzymywano stada koni udomowionych, na których wpływ człowieka coraz to więcej cech i różnic wyciskał, tak, iż po upływie długich wieków pozostały w stanie natury pobratymiec udomowionego konia był tylko przedmiotem łowów dla mięsa i skóry, od którego coraz to dalej odbiegał swym wyglądem koń użytkowy.

Nie podlega wątpliwości, iż człowiek posiadający już udomowionego konia, z podwójną energią prześladować musiał konia dzikiego. Stadom bowiem domowym był bardzo niebezpiecznym ten dziki pobratymiec, który, podobnie jak to się jeszcze dziś na stepach środkowo-azyatyckich dzieje, podchodził stadami całymi na pastwisko koni domowych i głośnem rżeniem wabił do wolności. Dlatego żadnego zwierza nie obawiają się tak koczownicze ludy Azyi, jak stada Tarpanów, których pojawienie się na widnokręgu elektryzuje stada koni udomowionych. Wszystko wówczas leci w stepy, by używać niczem niezakłóconej wolności, skąd powstają t. z. Muzyny — skutkiem czego coraz to bardziej zanika ród Tarpanów, a obecnie mają się one znajdować w czystej krwi li tylko nad rzeką Tom i w puszczy Gobi.

W roku 1872 ekspedycya rosyjska, na której czele stał jenerał N. Przewalski, syn obywatela pochodzenia polskiego z gubernii Smoleńskiej, dotarła do jeziora Kukunor, i tutaj rozbiwszy swe namioty na wysokości 3.315 mtr. p. n. p. m. miała sposobność obserwować w tym dziewiczym kraju Azyi centralnej szczególną faunę, bo przechadzały się tam stada dzikich osłów, koni i dzikich zupełnie wielbłądów.

Ogólny zwyczaj pożywania mięsa końskiego w całej przez Rzymian zwanej barbarzyńskiej Europie, zwyczaj, przeciw któremu dopiero ze zmiennym skutkiem występowali apostołowie wiary Chrystusowej, wskazuje rów nież, iż ogromne różnice musiały zachodzić pomiędzy koniem dzikim a domowym. Pożywano przeważnie mięso konia dzikiego, podczas gdy koń domowy był przedmiotem szczególnej pieczołowitości, dresury zastosowanej do wojny i pokoju, a nawet w obrzędach religijnych niemałą odgrywał rolę. Wierny towarzysz i przyjaciel człowieka, który wraz ze zwłokami swego pana i z jego całym rynsztunkiem ulegał całopaleniu a następnie wspólna ich popioły kryła mogiła — był koń poniekąd wiekami uświęconem stworzeniem, na którem najwyższe Słowian jestestwo objeżdżało świata dziedziny.

Być może, iż w tych prastarych wyobrażeniach tkwi powód niczem się zresztą wytłumaczyć niedający, szczególniejszego wstrętu do pożywania mięsa końskiego u ludu, popomimo iż liczne świadectwa udowadniają zwyczaj pożywania mięsa koni dzikich już w późnych czasach historycznych. Wieśniak nasz raczej zabierze się do zchorowanej padliny bydlęcej, jak to miałem sposobność sprawdzić w wielu oko-

licach, niż zdecyduje się dotknąć mięsa konia dobitego w skutek nieszczęśliwego przypadku, odczuwając szczególniejszego rodzaju wstręt do tego mięsa.

Czyli konie, zamieszkujące jeszcze podziśdzień nieprzejrzane stepy Azyi środkowej, do dzikich czy do zdziczałych zaliczyć należy, to jest pytanie, które i co do dzikich koni Europy się nastręcza.

Co do dzikich koni azyatyckich, można jedynie powołać się na opinię koczowniczych plemion Azyi, wedle której Tarpany za zupełnie dzikie są uważane.

W całem tego słowa znaczeniu wielka powaga w naszej specyalnej literaturze o koniu, autor „Historyi powszechnej konia“, Hr. Czapski otrzymuje (str. 12. Tom I.) iż koń europejski dziki był zapewne takiego jak i azyatyckie Tarpany pochodzenia, co tem bardziej przemawia do przekonania, iż analogiczną wędrówkę na wschód odbywało w rozmaitych czasach wiele zwierząt stepowych, zamieszkujących niegdyś całą środkową Europę, gdy im przyszło uchodzić na przyjaźne stepy Azyi wobec zmian kosmicznych i kulturnych, jakie wystąpiły w Europie.

Mówiąc o pochodzeniu dzikiego konia w Europie, wypowiedziałem domysł, iż konie jako zupełnie dzikie przetrwać mogły aż do naszych niemal czasów, pomimo, iż na stronicy 11 Tom I. wzmiankowanego dzieła znajdują się następujące słowa: „Wszystko zdaje się za tem przemawiać, że dzikich koni od przedpotopowego konia bezpośrednio pochodzących dziś wcale nie ma, że więc nie od nich wywodzić ród koni domowych wypada, ale że owszem one same od domowego konia pochodzą, i że ten tylko jest bezpośrednim przed potopowego konia następcą“. A na stron. 23: „koń domowy dlatego tak jest nazywanym, że domownictwu winien wyrobienie się w osobny gatunek; koń dziki, od którego ten gatunek pochodzi, zaginął wraz z mamutem. Dzisiejsze zaś dzikie konie są końmi domowemi, uszłemi opieki domownictwa“...

Przytaczam tu zdania wielkiego uczonego i wielkiego znawcy przedmiotu, którego dzieło o koniu stanowi prawdziwą chlubę specyalnej literatury, dzieło, na jakie zdobyć się może li tylko głęboka wiedza, uczoność i mozolna praca, tak, iż mówiąc cokolwiekbądź o koniu, trudno pominąć dzieło hr. Czapskiego, chociaż co do kwestyi zdziczenia konia nie jestem z nim w zgodzie.

Rzecz to więcej niż pewna, iż zdziczenie konia udomowionego w obec stosunków otaczających bardzo łatwo następywać mogło, a największą ilość zdziczałych koni dostarczały z pewnością od najdawniejszych czasów trwające walki tych jeździeckich narodów, jakie się w Europie w najrozmaitszych czasach pojawiają. Rozpierzchłe po walkach konie niezawsze zdołano pochwycić, a gdy był zwyczaj używania ogierów do jazdy wierzchowej, nic łatwiejszego nad przypuszczanie, iż z chwil tych korzy stał wojenny rumak, by się raz na zawsze pozbyć swego pana i opiekuna; pędził wówczas na stepy, i krył się w lasach, uprowadzając za sobą i piękniejszą płeć rodu. Stąd wzrastał ciągle kontyngens tak zwanych dzikich koni w krajach, które były wiecznym teatrem jeździeckich wojen, stąd podania najrozmaitsze w historyi o maści tych t. z. dzikich koni, która przecież u zwierząt prawdziwie dzikich mniej więcej jest jednostajną, a szczególne ubarwienia w świecie dzikiej przyrody do rzadkości należą.

Scyci, Sarmaci i inni, o których starożytni prawią historycy, to wszystko narody istnych centaurów, których wzajemne walki musiały wzbogacić Europę w konie zdziczałe. Następnie wędrówki narodów, owe miliony na koniach, które goniąc jak huragany, gdzieś aż z centralnych stepów azyatyckich rozbijały się w Europie. Owe zastępy jezdne „rózszczki bożej“, która w swym grodzie drewnianym w Panonii marzyła o obwaleniu największych potęg ówczesnego świata, Rzymu i Konstantynopola, owe starcia Azyi z Europą, przy których ludzie setkami tysięcy padali, dostarczyć mogły dosyć koni, które po utracie jeźdzców, na stepach się błąkały, a wreszcie zdziczały.

Jeżeli zaś dodam, iż było zwyczajem hord najezdniczych prowadzić ze sobą jeszcze i luźne konie, można mieć wyobrażenie, jaka straszna ilość koni najrozmaitszych dostawała się wśród takich napadów do Europy, koni na pół dzikich, z innych stref klimatycznych, z których z pewnością wielka część nie oglądała już więcej swych rodzinnych stepów.

Na ziemiach naszych, położonych na kresach Europy, gdzie dzięki naszym miłym z Perekopu sąsiadom i hordom nogajskim nie ustawały niemal aż do ostatnich czasów bytu politycznego narodu jeździeckie harce wojenne, zbłąkane i zdziczałe konie musiały być zwykłym zjawiskiem. To też nie sądzę, aby wszystkie świadectwa, odnoszące się do pobytu koni dzikich na ziemiach naszych, odnosić można do koni bądź prawdziwie dzikich, bądź od niepamiętnych czasów w stanie zdziczenia pozostających, które wszelkie cechy swego niegdyś udomowienia postradały. Tem sobie można wytłumaczyć niektóre opisy tak zwanych koni dzikich, niezgadzające się w niczem z opisami, które pochodziły od autorów wprost patrzących na konie dzikie, a dających się streścić w tem krótkiem zdaniu: Koń dziki, to zwierz do niczego niezdolny, pokonany, ze zdrowego i silnego staje się mdłym i kaleką, i za najmniejszem zmęczeniem pot się z niego leje. Otóż inni piszą przeciwnie, nie mogą się dość nachwalić przymiotów konia dzikiego, stawiając go za wzór wdzięku, rączości i zwinności; mówią o najrozmaitszych maściach, o wielkiej zdolności do pracy i t. p. Albo zatem opisywano tutaj coś, czego nie widziano, jak to się częstokroć dziać zwykło, albo opisywano jako dzikie takie konie, które były zwierzętami wcale niedawno zdziczałymi.

W rozmaitych stronach kraju dostrzegane błąkające się konie musiały niezawodnie i w błąd wprowadzać autorów, a bardzo szeroko zakreślone granice przebywania konia dzikiego przez Rzączyńskiego, wzięte z dzieł Macieja z Miechowa i innych dawniejszych autorów, zamykają prawdopodobnie wszystkie te kraje, skąd doszła do autorów wiadomość o pojawieniu się rzekomo dzikich koni.

Że zaś autorowie ci nie wchodzili bynajmniej bliżej w stan rzeczy, to jest niezawodne, bo wieki te cechowała dziwna obojętność dla całej przyrody, ignorancya, nie do pojęcia, dzięki której tak mało wiemy o stosunkach przyrodniczych naszej ziemi w wiekach średnich. Jeżeli tylko dosłownie brać będziemy podania dawnych autorów, dotyczące przyrody ziemi naszej, to z pewnością nigdy nie będziemy mogli przedstawić sobie prawdziwego obrazu o stanie rzeczy; a o ile są byle jakie a tak zawsze skąpe te podania, to musimy jeszcze i tutaj nauczyć się czytać pomiędzy wierszami przy krytycznem świetle nauk przyrodniczych. Jeżeli krytyczne opracowanie źródeł tak niedawno podjęte zmieniło o tyle poglądy zastarzałe na dzieje narodów, to o ileż więcej krytyczny pogląd na podania przyrodnicze dawnych autorów zmienić musi wyobrażenia nasze o dawnej przyrodzie kraju. Jeżeli jeszcze w ostatnich czasach przyrodnik każe nam obecnie szukać rena w Litwie i we wschodnich Prusiech (patrz geografia łowiecka dr. Foichtingera w tłumaczeniu Łowca 1888 str. 21), to cóż za brednie mogli popisać pod względem geograficznego rozsiedlania dzikich zwierząt ci dawni

autorowie, których podaniami o dzikich koniach karmił się nasz autor dzieła „Historya naturalis, curiosa regni Poloniae“ — co wszystko mogło wpaść pod pióro akademikowi krakowskiemu, astrologowi a wreszcie lekarzowi Zygmunta Starego w jego „Descriptio Sarmatiorum“ — i co wszystko mógł popisać o ziemi naszej Franciszkanin Sebastian Münster Niemiec w swej kosmografii, która w biegu lat 24 wydań się doczekała.

W roczniku 1835 nr. 2. „Przyjaciela ludu“, wydawanym w Lesznie, znajduje się na str. 12 niedługi artykulik pióra S. H. P., traktujący o koniu dzikim. Autor na początku zaraz powiada: „Nie bylibyśmy w stanie obrazu tego wygasłego u nas plemienia czytelnikom naszym udzielić, gdyby ten sam właśnie gatunek nie istniał jeszcze w Tataryi azyatyckiej, gdzie go Pallas i inni po nim naturaliści dokładnie poznali, opisali i powyższy rysunek nam zostawili“. Po takim wstępie przygotowani jesteśmy obaczyć podobieństwo Tarpana, ale gdzie tam, zaraz na str. 13 znajduje się bardzo nieudolny rysunek osła, niby to powtórzenie rysunku Pallasa, a przy końcu artykułu wzmianka, iż dzikie te konie, mające, jak sam autor artykułu przyznaje, więcej podobieństwa do osła, nazywają krajowcy Czygietaj.

I bądźże tu z tego mądry! Opis konia, rycina przedstawia osła i to jakiegoś biednego, a nazwa Czygietaj. W dodatku powiada jeszcze autor, iż wszystkie oznaki na tej rycinie odpowiadają opisom, jakie i polscy i obcy pisarze o dzikim koniu zostawili, w czasie, gdy jeszcze Polskę zamieszkiwał, podczas gdy niemal wszyscy autorowie wcale nie wspominają o oślich ogonach i uszach u koni dzikich, a Guilbert de Lannoy wyliczając zwierzęta w Trockim zwierzyńcu, wyraźnie o koniach dzikich, a następnie o jakichś osłowatych mówi koniach.

Naturalista Pallas, podróżując na czele naukowej ekspedycyi po krajach Azyi centralnej w latach 1770, 71, 72 i 73, pozostawił w samej rzeczy rysunek Dżigetaja, którego ówczesnie oglądał w stadach do 100 sztuk liczących na wyżynach Tybetu, jednakowoż uczony ten, uważając zwierzę to jako łącznik pomiędzy koniem a osłem, wcale go z koniem dzikim nie identyfikował, i owszem napiętnował go jako zwierze nadzwyczaj dzikie, nie dające się ułożyć i ułaskawić, sąd, który o tem zwierzęciu i do naszych czasów się utrzymał.

Smutno powiedzieć, iż chcąc dać czytelnikom wyobrażenie o koniu dzikim, o zwierzu łownym, który żył na rozmaitych miejscach ziemi naszej, potrzebował się autor w r. 1835, zatem w 30 lat po ostatniem pojawieniu się tego zwierza podług świadectwa Brinkena, posługiwać ryciną niby to Pallasa, sporządzoną gdzieś w Azyi, a przedstawiającą w każdym razie jakieś zwierze do osła podobne, w czasie, kiedy jeszcze świeżo tkwiły w pamięci żyjących kształty zwierząt wyłowionych w puszczy, w czasie, gdy z pewnością znaczyło się ich potomstwo pomiędzy końmi chłopskimi.

Lecz cóż to były za zwierzęta owe osłowate konie, które widział wspomniany już cudzoziemiec w zwierzyńcach wielkiego księcia Witołda w Trokach? — Zwykłe osły lub muły nie trzymanoby przecież w zwierzyńcu, a tem mniej mogłyby na siebie zwrócić czyjąś uwagę, a zwłaszcza uwagę cudzoziemca, w którego ojczyźnie było ich niezawodnie dosyć. Musiały to być zatem zwierzęta, zupełnie nieznane podówczas w Europie zachodniej, zwierzęta, które ani w stanie udomowienia ani w stanie dzikim nigdzie podówczas w krajach Europy się nie znajdowały. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiały to być Kulany czyli Onagry *Asinus onager*, które, jak się wyraża Ratzel, bardziej do konia niż do osła podobne (*Völkerkunde* t. III. 380. 1888 i stanowiące poniekąd jakieś ogniwo przejściowe pomiędzy Dżiggetajem *Asinus hemionus*, a koniem dzikim. One to prawdopodobnie zwróciły na siebie uwagę Guilberta de Lannoy. Są to zgodnie z opisem tegoż: „wielkie konie osłowate“ bo wzrostem przesięgają o wiele zwykłego osła, a kształtem ciała zgrabne i szlachetne.

Onager, obecny mieszkaniec środkowo-azyatyckich stepów, istniał niegdyś i w Europie, i należy również do reprezentantów owej stepowej fauny europejskiej, która odbywała w okresach swój pochód czy też powrót na wschód. Badania Nehringa odkryły szczątki kopalne onagra w Niemczech; (*Erdgeschichte* II. B. Neumayr 602) niezawodnie należał on w przeszłości i do fauny ziemi naszej, a posuwanie się tego zwierzęcia na wschód w Azyi już w czasach późnych historycznych da się sprawdzić. Od wybrzeży morza Kaspijskiego w stadach, podobnie jak koń, przebiega ten zwierz niemal całą Azyę środkową i gubi się gdzieś w owych mało lub wcale nieznanych obszarach wyżyny Tybetańskiej. Niegdyś był on zwykłem zjawiskiem w małej Azyi, Syryi, Persyi i Arabii, a w Biblii częste o nim znajdują się wzmianki. Podziśdzień plemiona narodów azyatyckich polują na Onagra dla mięsa. Z trudnością daje on się ułaskawić, a łowiony w doły, służył i służy do odświeżania krwi w owej pięknej rasie osłów na wschodzie, w owej pożytecznej rasie zwierząt, której protoplastami niezawodnie są onager i „hamar el wadi“, czyli afrykański osioł stepowy.

Narody zamierzchłej kultury, u których uszlachetnienie konia doszło do najwyższego szczebla doskonałości, umiały obok konia ocenić także osła i muła, i przykładały od wieków rękę do ulepszenia rasy tych zwierząt. U nas przeciwnie, stosując się do słów Mahometa: „ile dasz ziarnek jęczmienia koniowi, tyle ci grzechów odpuszczone będzie“, uważano zawsze osły i muły jako paryasów zwierząt domowych. Zapoznawszy drogocenne przymioty tych zwierząt i traktując je gorzej niż po macoszemu, sprowadzić musiano zupełną ich degeneracyę i skarłowacenie, a niewielka ilość egzemplarzy, używana do najpodrzędniejszych usług, jakby więcej do niczego zdolną nie była, egzemplarzy wyrosłych w ciągłem znęcaniu się otoczenia, są rzeczywiście zwierzętami nie bardzo użytecznymi, upartymi i złośliwymi, przymioty, które sprowadza i w pokoleniach utrwala sroga niewola. „Nie rody sia krasnym ałe szczasnym“ nie sprawdziło się na mułach i osłach w naszym kraju, a ogół naszego społeczeństwa nie wiedząc może zgoła nic o starej arabskiej legendzie, postąpił bez namysłu, jak ów legendowy Adam, któremu Bóg kazał wybierać pomiędzy koniem a Borakiem (Borak był to muł, na którym Mahomed odbywał swe przejażdżki po niebie). „Piękniejszym z tych dwojga jest koń“ odrzekł Adam i wybrał, co mu się podobało, a tak samo postąpi w naszych czasach każdy fornal, któremu się dozwoli wybierać pomiędzy byle jaką szkapą a mułem, i podziękuje za służbę, gdy mu każą zaprzęgać do woza lub pługa muły, podczas gdy jego koledzy zaprzęgają byle jakie szkapy.

Litwa i Polska, mając ciągłą styczność z ludami azyatyckimi — gdzie niemal bezustannie tworzyły się całe osady plemion mongolskich i tataaskich, gdzie nieraz zastępy tatarskie razem z naszymi potykały się ze wspólnym wrogiem i gdzie w ciągu dziejów rozmaite narody azyatyckie plądrowały po kraju — mogła łatwo na swych ziemiach posiadać zwierzę należące do przyrody kraju, z którego narody te pochodziły. Zwierzęta zatem azyatyckie, jak Kutan, mogły się łatwo do nas dostawać, albo gnane nawałą zagonów posuwały się na zachód i pojawiały się raptem jak

złowroga wróżba, albo w stanie ujętym jako prowiant pędziły je przed sobą najezdnicze hordy, albo dostawały się naszym jako podarunek tak zwykły u wschodnich narodów. Że zaś były to Onagry a nie Dżigetaje, przemawia za tem dzisiejsze jeszcze geograficzne rozsiedlenie tych dwóch odmian w stepach Azyi środkowej. Dżigetaj jest mieszkańcem głębokiej Mongolii i w największej ilości znajdować się ma nad słonem jeziorem Tarei, podczas gdy Onager aż po Krym niegdyś rozprzestrzenił swoje siedliska i znanym był właśnie tym Tatarom, z którymi najwięcej mieliśmy styczności.

W ów domniemalny sposób, o jakim wspomniałem, dostawały się do nas już w najdawniejszych czasach zwierzęta wcale innych stref klimatycznych, że wspomnę tu jedynie o wielbłądzie, który początkowo nabywany ze wschodu, później dostając się bądź jako zdobycz wojenna, bądź jako dar, aklimatyzował się u nas doskonale jako zwierzę domowe. Jeszcze Mieczysław I. posiadał wielbłądy, a jednego podarował cesarzowi Ottonowi (Naruszewicz. Hist. T. II.). Błazen nadworny Jagiełły w liście do mistrza Zakonu krzyżackiego wspomina o wielbłądach, darowanych przez Tatarów księciu Witołdowi. Władysław Jagiełło posiadał również te zwierzęta, a ciekawą z czasów tego króla, jakkolwiek nie na miejscu swojem tutaj, jest historya wielbłąda, stanowiącego herb miasta Pilzna w Czechach.

Konstanty książę Ostrogski darował Henrykowi Walezemu 5 wielbłądów w kraju urodzonych, a 10 strojnych dromedarów poprzedzało świetny wjazd Ossolińskiego do Rzymu w r. 1633. Zwierz ten stanowił niejako konieczny luksus wielkich panów w podróżach i wyprawach wojennych, konieczne dopełnienie przepychu wschodniego, jaki nasi magnaci od wschodnich ludów przyjęli. Wiersz nieznanego poety, opisując w XVI. wieku podróż pana, wspomina i o „wielbłądzie, tłumoki ciężko objuczonym“.

Odbiegłszy od przedmiotu i od zwierząt łowieckich, wzmianką o polskim wielbłądzie kończę traktacik o koniu dzikim. Wspomnienie to należało się okrętowi puszczy starego świata, aby wykazać przez analogię sposób możliwego dostawania się pokrewnych koniowi mieszkańców Azyi do ziem naszych i aby wyratować przekonanie, iż „osłowate konie“ w zwierzyńcu Trockim nie były zwierzętami „jakie można mieć w lasach i z nich też pochodzą“.

Przy tej sposobności dostało się i długouchom azyatyckim nieco więcej miejsca, niżby to w zakresie niniejszej pracy być powinno, gdyż zwierzęta te do zatraconej fauny naszej — przynajmniej w czasach historycznych — wcale nie należą. Zaakcentowawszy jednak różnice, jakie w rodzie dzikich czy też zdziczałych jednokopytnych starego świata istnieją, sądzę, iż wypowiedziałem tu jedynie tylko to, co do zatarcia chaotycznych wyobrażeń w niefachowych kołach było niezbędne. Znając zresztą z doświadczenia ziemiańskiego wielką użyteczność ekonomiczną mułów (mułów-osłów, bastardów z klaczy i osła ogiera), pragnąłem bodaj mimochodem zwrócić uwagę na to pogardzone u nas zwierzę, które przy swej skromności w wyżywieniu, mającej swe źródło w odrębnej od konia a bardzo silnej asymilacyi pokarmów ciężko strawnych i nieskoncentrowanych, przy swem niespożytem zdrowiu i zadziwiającej sile i wytrwałości, nieobliczone ziemianinowi oddać może korzyści i zarazem stać się pośrednim czynnikiem w poprawie chowu koni, ku któremu pozyskana skromnością muła pokarmowa forsa zwrócić się może.

I jeżeli redaktor „Łowca“ nie uzna za stosowne wykreślić niniejszego ustępu z mej pracy, to racz wziąć pod rozwagę łaskawy czytelniku te ziemiańskie marzenia myśliwego, gdy po krótkim sezonie powabnej muzyki kniejowej, nastąpi długi a ważny okres szczęku lemieszów i radeł.

(Dok. nast.)

Gospodarstwo mego kolegi.

Opowiadanie nauczyciela.

Czasem człowiekowi wszystko idzie na opak. Gdy się spodziewa pogody, pada deszcz — gdy strzeli na prawo, kula idzie na lewo — gdy się spodziewa dochodu 100 złr., wyda 99 — gdy mu się zdaje, że chwycił biedę za kark, bieda po nim depce i szydzi z biedaka.

Takie właśnie szczęście miał mój kolega z sąsiedztwa. A trzeba wiedzieć, że sąsiad mój to człek przedsiębiorczego ducha. Miał dawniej posadę w miasteczku, lecz tam źle mu się wiodło, bo ze szczupłej płacy wyżyć nie mógł, a lekcyj prywatnych nie było. Nie było również odpowiedniego gruntu do zastosowania świetnych pomysłów gospodarskich, których kolega miał duży zapas. Sprowadził się tedy na wieś, bo tu do posady przywiązany był użytek z jednego morga lichego pola.

Osiadłszy tu, zaczął od gospodarstwa rolnego. Cały jego pokój zarzucony był wówczas cennikami nasion, podręcznikami o uprawie roli, rozprawami o chorobach roślin gospodarskich i t. d.

Zastałem go raz zagłębionego w czytaniu broszury: „O nawozach“.

— Studyuje kolega agronomią — rzekłem.

— Tak, panie — odrzekł, patrząc na mnie wzrokiem rutynowanego gospodarza. — Czy uwierzysz pan, że z mego morga pola będę miał w tym roku 50 reńskich czystego dochodu?

Zauważyłem, że takiego cudu żaden gospodarz nie dokaże.

— Ba! — mówił kolega przekonywująco — gospodarz, a gospodarz, to wielka różnica. W ziemi jest skarb obfity, który jest dostępny ręce umiejętnej i energicznej. Taka ręka czerpie złoto; niedołężna ręka wydobywa zaledwie miedziaki.

W tej chwili, muszę to przyznać, czułem się strasznym niedołęgą w porównaniu z moim kolegą, ja bowiem z mego morga piasku nawet miedziaków nie wydobywam. I nie wstyd to dla mnie — myślałem — że od dawna żyjąc na wsi, nie umiem tego, co ten człowiek, pierwszy rok tu zamieszkały. Pytam tedy z pewną nieśmiałością sąsiada, co też będzie siał w tym roku?

— Już posiałem — odrzekł — pszenicę, mój panie, prawdziwą egipską pszenicę: ziarno zdrowe i wielkie jak orzech, kupiłem korzec za 14 reńskich. Ponieważ pole było jałowe, więc wpakowałem na mój łan 50 kilo mączki kościanej i pomimo dotychczasowego wydatku w kwocie około trzydziestu złr., obliczam czystego dochodu już najmniej na 50 złr. Mówią, że na tem polu pszenica się nie rodzi. Zobaczymy, mój panie!

Kolega zaśmiał się tryumfująco.

W rok później spotykam mego kolegę na targu. Kupował kukurydzę.

— Daj Boże szczęście! — rzekłem, powitawszy go. — W tym roku, jak widzę, sieje pan kolega kukurydzę.

— Źle się pan domyślasz, kochany sąsiedzie — odpowiedział. — Pal licho gospodarstwo rolne, gdy człowiek nie umie opanować atmosfery. Powiem panu w sekrecie, że na pszenicy wyszedłem, jak Zabłocki na mydle. Straciłem wszystko, nie było nawet słomy. Gdybym był coś podobnego przeczuwał, byłbym choć pół korca nasienia kazał zemleć na chleb, a tak poszło wszystko z posuchą, gradem i z pastuchami.

— Teraz całkiem inny mam pomysł — rzekł kolega po chwili. — Kupiłem pięć wieprzaków i chcę je utuczyć kukurydzą. Nie masz pan pojęcia, jak kukurudziana lemieszka wieprze tuczy. Podług twierdzenia specyalisty Markota, od lemieszki przybywa na wieprzu dziennie 20 deka wagi, co czyni na miesiąc 600 deka. Zatem na pięciu moich wieprzach przybędzie 3.000 deka, czyli 30 kilo. Licząc wartość każdego kila minimum 30 ct., uczyni to miesięcznie 9 złr. Jestto, jak pan widzi, zysk nie do pogardzenia, zwłaszcza, jeżeli ilość wieprzy się podwoi, bo wtedy i dochód będzie dwa razy większy. Na początek zacząłem od pięciu wieprzy i radzę panu szczerze, abyś także ten interes rozpoczął.

— Wpierw zobaczę, jak kolega na nim wyjdzie — rzekłem.

On tymczasem odwrócił się do gospodarza siedzącego na wozie i żywo dobijał targu o kupno złotodajnej kukurudzy.

Jakże się tedy zdziwiłem, gdy po kilku tygodniach ujrzałem mego kolegę sprzedającego swoje pięć wieprzków na targu.

— O! — zawołałem — kolega sprzedaje już swoje wieprze? Jak uważam nie bardzo utuczone.

— Pst!.. — wyszeptał tajemniczo. — Opowiem panu całą historyę, lecz muszę wprzódy wieprzaki sprzedać i to jak najprędzej.

Przytem zauważyłem, że kolega nie odrywał wzroku od swego towaru, obserwując wieprzki zawzięcie, jakgdyby chciał napatrzeć się na nie, póki nie pójdą w cudze ręce. Sprzedał je też w momencie i to za bezcen.

Na moją uwagę, że wieprzki prawie podarował, odrzekł szybko, zniżonym głosem:

— Uchodźmy stąd przedewszystkiem, aby nie kazano mi pieniędzy zwrócić... Chodźmy, chodźmy!...

I pociągnął mnie prawie przemocą za sobą. Szliśmy tedy, a raczej uciekaliśmy z targowicy, przebijając się z trudnością przez zbite tłumy ludzi.

Gdyśmy się znaleźli sami, odetchnął kolega głęboko i rzekł:

— Teraz panu powiem, dla czego z targowicy tak zmykałem. Te świnie, com sprzedał, powarjowały...

Popatrzyłem na kolegę cokolwiek zaniepokojony.

— Robisz pan minę, jakbyś mi nie wierzył — mówił kolega — nie przypuszczasz przecie, abym kłamał. Otóż te bestye z początku, jak je kupiłem, zachowywały się jak wszystkie inne świnie, lecz po pewnym czasie oszalały i zaczęły tańcować...

— Jak to, wieprze pańskie umią tańcować? — zapytałem z uśmiechem.

— Tańcują, najdokładniej tańcują od rana do wieczora a nawet w nocy, gdy są zamknięte w chlewku, nie śpią szelmy spokojnie, jeno przedłużają swoją dziwną zabawę i to wszystkie pięć naraz, jakby na komendę. A kwiczą przytem... a tłuką się... istne piekło! Powiadam panu, że ja, moja żona i dzieci, nie mogliśmy całymi nocami oka zmrużyć, taki taniec piekielny był w chlewku...

— Jakże ten świński taniec wygląda? — zapytałem, udając poważnego.

— Dziko, bardzo dziko — mówił kolega smutnym tonem, oglądając się trwożliwie na wszystkie strony. — Gdy im się dało jeść, był z początku spokój; nagle zrywają się jak opętane, kręcą się w kółko, biją głowami lub tyłami o ścianę, przewracają się do góry nogami, a kwik przy tem powstaje taki, że w pobliżu ludzkiego głosu nie usłyszysz. Czegoś podobnego nie widziałem w życiu. Na dodatek zbiegają się ludzie i dzieci i wołają: „Chodźcie, chodźcie! Patrzcie jak u profesora wieprzki tańczą!“ Czy uwierzy pan — skarżył się kolega — że ja nie mogę teraz przez wieś spokojnie przejść, bo śmieją mi się ludzie w oczy. A, niech kat podusi wszystkie wieprze! Jakaś baba przychodziła radzić mi, abym z chlewka wyjął północny słup, a wieprze przestaną waryować. Mówiła, że u niej także dyabeł świnie opętał, a po wyjęciu słupa zaraz ustąpił.

— No, i próbowałeś pan wyciągać słup? — zapytałem.

— E, gdzieżbym w takie gusła wierzył! Zirytowany, wyrzuciłem babę za drzwi, a dziś ze złości sprzedałem wszystkie wieprze, i wielkie moje szczęście, że nie zaczęły na rynku tańczyć! Toż to byłaby zabawa!... Pląsały za to przez całą drogę, gdy je pędzono na targ. Ach, dzięki Bogu, że się to już raz skończyło!

Wskutek tego wypadku, nie mogłm się później od śmiechu wstrzymać, skoro zobaczyłem owe zwierzęta domowe, co tyle narobiły kłopotu memu sąsiadowi.

Dopiero po jakimś czasie dowiedział się mój kolega, co wprawiało jego wieprze w taniec. Oto kupił był plewy hreczanej dla nich, a w plewie był bieluń, tak zwana na Rusi „duryjka“, od której świnie dostawały zawrotu głowy.

W każdym razie kolega stracił ochotę do hodowania wieprzy, lecz nie wyczerpany w pomysłach, odkrył wkrótce nowe źródło zysków.

Pewnego razu przybywszy do sąsiada w odwiedziny, zastaję go na podwórzu, otoczonego gromadą białych, ślicznych gęsi. Trzymał w rękach rzeszoto i sypał pośład.

— Powitać, powitać! — zawołał, spostrzegłszy mnie, a był w humorze wyśmienitym.

— Czy nie nowa spekulacya? — spytałem z docinkiem.

— Ba! — zawołał żywo — gdybym był miał pierwej ten rozum, to byłbym od razu od gęsi zaczął. Patrz pan, jakie niepokaźne stworzenie, a jak wdzięcznie opłaca człowiekowi trudy. Pan się śmieje, a ja panu to udowodnię cyframi. Wiesz pan o tem, że gęś dobrze karmiona, zniesie co najmniej 10 jaj; zatem od moich dziesięciu muszę mieć 100, jeżeli nie więcej. Gdy się na wiosnę wykłują gąsięta, to idą sobie na trawę, którą Bóg zarodził i piją wodę, która nic nie kosztuje, a już w jesieni można je sprzedać po reńskiemu, bez wielkiego trudu.

Zrobiłem na to uwagę, że wiele gąsiąt ginie, tak, że ze sta wykłutych, może zostać tylko pięćdziesiąt, a może i mniej.

— Tak, prawda — podchwycił kolega — giną, setkami giną, ale u ludzi, co nie mają pojęcia o hodowaniu drobiu. Lecz ja nie wziąłem się do rzeczy po omacku; przestudyowałem wprzód całą kolekcyę broszur i rozpraw o hodowaniu drobiu i dopiero wówczas rozpocząłem dzieło. Jak ja, panie, przyrządzę gąsiętom papkę pieprzową z kaszą, to jestem pewny, że mi się wszystkie wychowają.

I z miną wewnętrznego zadowolenia rzucał dalej poślad gęsiom, które żarły jak najęte.

— Ta, naprzykład — tłumaczył mi kolega, wskazując gąskę palcem z nazbyt spłaszczonym tułowiem, najlepsza na jaja. Najgorsza taka, co niespokojnie biega z miejsca na miejsce, lecz moje wszystkie grzeczne, kupiłem je widocznie z dobrej ręki.

— Na targu kupione? — spytałem.

— Nie. Skupowałem je pojedyńczo tu, w miejscu. Byle rychło się nieść zaczęły, bo już czas. U moich sąsiadów już się niosą. Chodź pan — rzekł po chwili — pokażę panu, jakie pyszne gniazda porobiłem im w spiżarce. Moja żona do tej sprawy wcale się nie miesza, bo wychowana w mieście, nie rozumie się na tem.

Ogłądnąwszy dokładnie dziesięć gniazd gęsich, musiałem być świadkiem, jak kolega pędził na nie gęsi i jak je tłumił, zmuszając do siedzenia.

— Mają wstręt do gniazd — mówił — bo to młode gąski, z gniazdem nie obznajomione. Prawdopodobnie tej nocy nieść się zaczną. O, weź pan do ręki, jaka ciężka, ta jest z jajem najpewniej!

Lecz uparte gęsi w żaden sposób siedzieć nie chciały. Syczały jak węże, gęgały i uciekały z gniazda. Zniecierpliwiony kolega bił je i motłoszył, więc zrywały się do lotu i gęgały jeszcze bardziej.

Zostawiłem go przy tej robocie, gdyż spieszyłem się do domu. Przez drogę myślałem o tem, ile też jaj zniosą gąski memu koledze? Ha! być może, że na gęsiach można robić interesa.

W kilka tygodni potem, otwierają się drzwi mego pokoju i wchodzi sąsiad. Uścisnęliśmy się jak przyjaciele. Od czasu jak go widziałem zmienił się znacznie: oczy straciły blask przenikliwości, mina wewnętrznego zadowolenia zmieniła się na wyraz srogiego zwątpienia — wyglądał, jak bankrut.

— Zmizerniał kolega — zagadnąłem.

— Naturalnie — odrzekł — można było nie tylko zmizernieć, ale wyschnąć jak szkielet, można było oszaleć, można było zginąć! Nie słyszał pan, co się stało?

— Nic, a nic.

— Już nie ma moich gęsi.

— Pańskie dziesięć gąsek?

— A niech je licho porwie! — zawołał kolega z goryczą.— Panie drogi! Jak człowiek nie ma szczęścia, to nie pomoże głowa, choćby większa od arbuza. Przez całe dwa tygodnie tłumiłem się z gęśmi, zmuszając je do siedzenia i niesienia jaj, a tymczasem wszystkie moje zachody i trudy zdały się dyabłu na wesele... To nie były gąski. To były samce!

— Samce! — zawołałem oburzony.

— Samce, i to wszystkie dziesięć. Bestye przeklęte!

— I kolega nie poznał?

— Czart je tam pozna! Tysiące innych zwierząt zachowują pewną wyraźną charakterystykę, lecz u tych przeklętych stworzeń zatracają się owe cechy znamienne i trzeba było dopiero prostej baby, aby tę tajemnicę odkryła. Gdyby nie moja sąsiadka, byłbym się z gęsiorami całą jesień tłumił. Ona położyła koniec mojej i gęsiorów męce. W moich mniemanych gąskach poznała zaraz samców... Dziś nie żyje z nich żaden.

— Cóż się z nimi stało?

— Ot!.. Jednego gąsiora w złości zabiłem, że nie chciał siedzieć na gnieździe, trzy mi skradziono, reszta poszła na ucztę rodzinną.

Byłem pewny, że po tej próbie puści już mój kolega w trąbę wszelkie „przedsiębiorstwa“ i powróci do cichej pracy zawodowej.

Lecz stało się inaczej.

Pewnego pięknego poranku wybrałem się z wizytą do kochanego sąsiada, bo już mi się za nim było stęskniło. Pragnąłem się przekonać, czy nie zasmakował w spokojnem życiu, pożegnawszy manię ryzykownych interesów.

Już z daleka posłyszałem jego wesoły głos, gdy wtem świsnęło mi coś koło ucha. Ledwie spostrzegłem, że to dość spory kamień, aż tu sadzi w potężnych susach prosto na mnie ogromne psisko, a za nim jak wiatr pędzi sam kolega, krzycząc: „Aport! aport Nero!“ Kolega nie widział mnie tak był psem zajęty, dopiero zatrzymał się, gdy go chwyciłem za rękę. Zauważyłem przy tem, że prawa jego dłoń i mankiet oblane były atramentem.

— Ładnie mi kolega gościa przyjmujesz — rzekłem. — Na samym wstępie kamieniem w łeb.

— Ach, przepraszam! — uniewinniał się zadyszany.

— Kolego kochany! — zawołał wyciągając ramiona ściskając mnie i całując — jestem bardzo szczęśliwy. Życie ludzkie ma wiele powabów i przyjemności, trzeba je tylko umieć odkryć. Ludzkie życie — kolego — to aleja długa i monotonna, ale tylko pozornie; kryje ona w sobie pełno niespodzianek. Dla dobrego myśliwego znajdzie się tam za każdym krzakiem to cap, to zając.

Nie mogłem zrozumieć tego wybuchu radości mego sąsiada.

Weszliśmy do izby. Rzuciłem okiem po znajomym mi pokoiku i wnet wiedziałem wszystko: kamień, Nero, aleja z krzakami, za krzakami zające i capy — aha!.. Na niewinnej dotąd ścianie wisiała strzelba, torba i kurtka myśliwska, na oknie pełno wystrzelonych patronów, w kącie nowe buty z długimi cholewami, których przedtem kolega „z zasady“ nie nosił. „Z deszczu pod rynnę“ — pomyślałem i zrobiło mi się jakoś smutno.

— Ho, ho, ho! — odezwałem się — kolega w krótkim czasie został myśliwym! Ej kolego! — dodałem żartobliwie, grożąc mu palcem — daj sobie pan spokój z myśliwstwem! To rzecz za kosztowna na pańską kieszeń a potem możesz mieć stąd wiele nieprzyjemności. Zresztą wątpię, abyś kolega odbił to na myśliwstwie, coś stracił na gospodarstwie.

— Jeżeli mi pan dobrze życzysz — odrzekł żywo — to nie wspominaj o gospodarstwie, a szczególnie o tych głupich wieprzach i gęsiach, bo mi wstyd okrutny. Sam teraz nie mogę pojąć, skąd mi do głowy przychodziły tak niemądre pomysły. Czemu to od razu nie wziąłem się do myśliwstwa! To mi dopiero życie! Wiesz kolego, udało mi się za bezcen nająć polowanie gminne — za 30 zł. rocznie. Zaciągnąłem wprawdzie pożyczkę w kwocie 100 zł., bo przecież musiałem się stosownie wyekwipować, ale trzeba policzyć, ile za to będę miał przyjemności i wygody, bo wiadomo, jak to na wsi o mięso trudno. Teraz o to mnie głowa nie zaboli — biorę strzelbę na plecy, paf! uśmiercam zająca i jest pieczeń wyborna. A kuropatwy, a słonki, a kaczki!.. Gdy mi tego będzie za wiele, mogę dziczyznę dobrze sprzedać i już w tym celu porozumiałem się z kupcem we Lwo-

wie. — Po upolowaniu pierwszego zająca lub kozła, zapraszam kolegę na ucztę.

— Więc dotychczas nic pan nie ubiłeś?

— Strzelałem, strzelałem, ale nie trafiłem. Ha, pierwsze kroki!

— Kolego! — rzekł po chwili — proszę mi zrobić tę przysługę i wyperswadować mojej babie, bo mi tego polowania darować nie może. Kobieta nigdy nie pojmie rzeczy, opartej na męskim, zdrowym rozsądku.

Właśnie w tej chwili weszła żona kolegi, a ja widziałem, że była przygnębiona. Rozpoczęła się zwyczajna pogadanka. Naraz kolega krzyknął: „jastrząb!“ — chwycił strzelbę i wybiegł.

Wtedy żona kolegi zwróciła się do mnie:

— Jesteś pan kolegą męża — rzekła — i życzliwym sąsiadem, proszę więc zgań pan po przyjacielsku memu mężowi to nieszczęśliwe myśliwstwo, bo on na niem tak wyjdzie, jak na gospodarstwie. Na dobitek niedostatku, w którym żyjemy, trzeba nam było jeszcze długu, na dzierżawę polowania za niebywałą dotąd cenę 30 zł. Do tego musiał kupić strzelbę za 40 zł., rozmaite przybory i ten oto obraz, którym tylko pokój zeszpecił, bo proszę popatrzeć, co z niego zrobił i jak sporządził nowiuteńką kanapę.

Popatrzyłem w tę stronę i ujrzałem kanapę oblaną atramentem, nad kanapą zaś druk olejny również atramentem zlany. Obraz przedstawiał zielono ubranego człowieka, niby myśliwego na zasiadce o czerwonej jak rak twarzy. Przysiadłszy ze strzelbą za krzakiem, robił strzelec wrażenie, iż się skrył raczej przed zwierzyną, niż aby miał na nią czatować. U nóg strzelca leżał pies legawy, którego morda zamazaną była atramentem.

— Cóż ten atrament ma znaczyć? — zapytałem.

— Smutne to i zabawne — odrzekła. — Chciał mąż koniecznie, apy pies na obrazie był podobny do jego „Nerona“. A że temu na obrazie, do podobieństwa brakowało na czole czarnej łatki i dwóch kropek, więc wysadził Nerona na kanapę i jedną ręką trzymał go za ucho, a drugą malował łatkę na obrazie. Zniecierpliwiony pies wyrwał się, kałamarz przewrócił i wszystek atrament wylał się na kanapę.

Mówiła to smutnym tonem, prawie płacząc, choć rzecz była bardzo śmieszna.

— A myśli pan — mówiła dalej żona kolegi — że ubił mąż dotychczas bodaj wróbla? Gdzie tam! Nawet wątpię, czy kiedy co ubije, bo ma tak krótki wzrok, że chcąc zająca ubić, musiałby go chyba dotknąć lufą.

Wtem wrócił kolega z daremnej pogoni za jastrzębiem.

— Wiesz panie kolego co? — rzekł — weź laskę i chodźmy na szaraki.

— Pięknie dziękuję, moja laska nie strzela — odparłem.

— Chciałbym chętnie dziś jeszcze uraczyć kolegę pieczonym zającem, a właśnie wybieram się na tego nicponia „na stawisko“. Mówił mi człowiek, że na „na stawisku“ każdego roku musi być zając.

— Tam pod krzakiem cały rok na ciebie czeka — wtrąciła żona złośliwie. — Ludzie śmieją się z ciebie, ja zaś obawiam się, abyś nie zabił kiedy człowieka. Tak niezgrabnie strzelbę nosisz, że gdy idziesz z nią przez wieś, ludzie omijają cię na 20 kroków, a kobiety się żegnają.

— He, he! Mają respekt — odrzekł kolega wesoło.

Pożegnałem państwa sąsiadów, a kolega przebrany skrupulatnie za myśliwego, ze swoim Neronem podprowadził mnie kawał drogi.

I odtąd nie pokazywał się u mnie przez cztery tygodnie. Dziwiło mnie to cokolwiek, bo przecież na dziczyznę obiecywał zaprosić. Nie ubiłżeby dotychczas mizernego zająca? A może chory? Jakkolwiek był wtedy mroźny dzień grudniowy, poszedłem go odwiedzić.

Chodził zadumany po pokoju. Gdy się do mnie odwrócił, krzyknąłem z przerażenia: był to kościotrup w niczem niepodobny do tego wesołego, pucułowatego człowieka, któregom niedawno tu witał. Policzki straszliwie zapadnięte, czoło poorane zmarszczkami, z poza okularów wyglądały przygasłe oczy ja dwie rozpacze. Dłuższy czas nie śmiałem ust otworzyć, patrzyliśmy sobie tylko w oczy; moje oczy pytały, jego mówiły. Wreszcie przemówił słabym ponurym głosem:

— Jestem zgubiony!

Mrowie po mnie przeszło.

— Zabiłeś kogoś nieoględnie?

— Zabiłem...

— Zabiłeś?!... Nieszczęśliwy!

— Zabiłem... kozę.

Duch wstąpił we mnie.

— Kozę!... Śmiej się z tego! A cóż to, za kozę cię nie powieszą!

— Ba! — mówił kolega smutno — z jednej kozy mógłbym się śmiać, ale drugiej nie przeżyję.

— Jakto? zabiłeś dwie kozy?

— Przeciwnie. Jednę kozę zabiłem ja, a druga z zemsty mnie ma zabić.

— Nie rozumiem.

— Wiadomo panu przecież, że jest taka koza, co zamiast oczu ma okna z kratami i zamyka się na klucz.

— Zasądzono cię na areszt?

— Lub na zapłacenie 100 zł. kary, a takiej sumy nie posiadam.

— To odstąp pan to głupie polowanie komu innemu, sprzedaj myśliwskie rekwizyta, sprzedaj strzelbę...

— Strzelbę! A gdzież ją mam? Odebrano mi ją i przepadła na zawsze.

— Odebrano panu strzelbę? jak? kto? za co? opowiedz mi cały wypadek.

Usiedliśmy i kolega zaczął opowiadać.

— Tego samego dnia, kiedy kolega ostatnim razem u nas byłeś, poszedłem jak wiesz „na stawisko“ na szaraki... Bodaj wrogowie moi na polowanie chodzili!... Nero wytropił kozła. A ponieważ od dawna sprowadzają na mnie nieszczęścia raz samce, to znów samice, więc i tutaj pokazało się, że to nie był kozieł, tylko koza — przeklęta „głupia koza!“ Ale słuchaj do końca. Strzeliłem do mniemanego kozła i trafiłem, lecz zranione zwierzę biegło jeszcze, a ja za niem i nie wiedząc o tem, zapędziłem się na obce terytoryum. Właśnie był Nero kozła dopadł, gdy z za drzewa wyszli dwaj hultaje i bez długich ceremonij odebrali mi strzelbę, a Nerona na miejscu zastrzelili. Wylegitymowawszy się, że jako strażnicy lasowi mają do tego prawo, skonstatowali dodatkowo, iż popełniłem małą zbrodnię, bo zabiłem kozę. Była to faktycznie koza, jak się o tem z bliska przekonałem, a czego wprzód, strzelając w zapale nie spostrzegłem, bo jak wiadomo, kozły w jesieni rogi tracą. Gbury nagadali mi jeszcze impertynencyj. „Nie strzelaj pan — mówią — do kozła, gdy się na „pędzlu“ nie znasz“. Poczem zabrali kozę jako *corpus delicti*, a następstwem tego było zasądzenie...

— Teraz możesz pan pojąć — mówił — moje nieszczęście. Zhańbiony aresztem, stracę posadę i pójdę chyba kamienie tłuc. O, dlaczego nie usłuchałem żony i pana, gdyście mi polowanie odradzali?! Teraz dopiero poznałem, że każda

przyjemność jest podejrzanej wartości i że lepszy powszedni tryb życia, niżeli zdradliwe uciechy...

* * *

Rozstawszy się z kolegą, usiłowałem rozwiązać tajemnicę ludzkiego losu: czy los prześladuje człowieka, czy też człowiek sam jest panem swego losu? I choć nie zgadzam się w zupełności z Schillerem, że „*ein jeder Mensch ist seines Glückes Schmied*“, to przecież sentencyę ową do mego kolegi musiałem zastosować. W każdym razie, nieszczęście kolegi odczułem głęboko. Minęła zima i wiosna, kolega wykręcił się jakoś od kozy. Dowiedziawszy się o tem, pobiegłem natychmiast powinszować mu, lecz nie zastałem go w domu. Poszedłem drugi, trzeci raz, lecz i teraz w domu go nie było. Wyjeżdżał często w jakimś interesie, ale w jakim — nie mogłem dociec i dopiero wczoraj dowiedziałem się o wszystkiem.

Był właśnie u mnie z pożegnaniem, gdyż przenosił się na posadę w inny okręg. Gdy mi powiedział, że idzie na posadę z mniejszą płacą, zapytałem, dlaczego to czyni?

— Muszę stąd uciekać — odrzekł. — Śmieją się ze mnie. Nieszczęśliwe gospodarstwo — ta pszenica, te wieprze, te gęsiory, te „kozy“ przeklęte, — podkopały moją powagę we wsi... Nawet dzieci w szkole nie mają teraz dla mnie należytego szacunku. Przytem, na nowej posadzie są widoki na polepszenie bytu. Zaraz się pan domyślisz, co to za widoki — rzekł kolega wesoło — skoro panu wspomnę o tym fakcie, że tam gdzie się przenoszę, połowę pola obsiewają ludzie hreczką.

— Aha! Ma kolega prowadzić pasiecznictwo — rzekłem zgadując. — A znasz się pan na tem?

— Znam teoryę — odrzekł — a praktykę sobie wyrobię. Mój poprzednik na owej posadzie zrobił majątek z pasieki i dziś żyje sobie bez troski o jutro.

— A samce? A samice? spytałem.

— Otóż właśnie tu uśmiecha mi się szczęście, bo będę miał do czynienia z istotami bezpłciowymi. Z jedną samicą dam sobie radę, trutnie wybiję, a bezpłciowe pszczoły uszczęśliwią mnie.

Życzyłem koledze szczęścia i pożegnałem go.

Oby mu fortuna uśmiechnęła się przyjaźnie.

G. K.



Z polowania na głuszce.

Żaden rodzaj polowania nie ma dla prawdziwego myśliwego tyle uroku, co tok głuszców. A jednak nie wielu stosunkowo myśliwych poluje na głuszce — jedni z powodu, iż mieszkając z dala od naszych Karpat, nie mają sposobności zapoznania się z tym rodzajem polowania, inni, z powodu, że nie chcą lub nie mogą narażać się na trudy i niewygody z polowaniem tem połączone, inni wreszcie jedynie dla tego, że nasłuchawszy się opowiadań innych o czujności tego ptaka i o trudności spotkania się z głuszcem, dają z góry za wygranę i uważają to polowanie za niedościgniony ideał.

Polowanie na głuszce u nas ogranicza się na tok wiosenny, a to głównie z powodu trudności terenu, w miejscach bowiem górzystych, w których głuszec przebywa, polowanie nań z wyżłem, lub w jakikolwiekbądź sposób jest niemożliwem. Królewski ten ptak gnieździ się bowiem i przebywa wyłącznie tylko w górach, wśród lasów szpilkowych, rzadko kiedy schodząc dla żeru na niżej położone połoniny.

Długi czas tęskniłem do tego polowania, które w wyobraźni mojej przysłaniał pewien urok tajemniczości, a spełnienie moich gorących pragnień zapolowania na głuszce, zawdzięczam szanownemu panu staroście Władysławowi Chądzyńskiemu, którego propozycyę odbycia wspólnie wycieczki na głuszce skwapliwie przyjąłem.

Było to w r. 1890.

W piękny dzień wiosenny, dnia 18. kwietnia, wyruszyliśmy we dwójkę do Nadwórny, skąd dalej na Pasieczną do Zielonej, a stąd już w towarzystwie dodanych nam dwu leśnych, Malinowskiego i Lisa, tudzież starego pobereżnika Iwana i czterech huculów, obładowanych naszymi bagażami, podążyliśmy dalej do celu naszej podróży, t. j. na górę zwaną „Podharczyna“. Przybywszy na miejsce i rozlokowawszy się w przygotowanej kolibie, udaliśmy się pod wieczór na wskazane przez leśnych miejsce toku, dokąd mieliśmy od koliby pół godziny chodu pod górę. Ta wieczorna zasiadka w porze ciągu słonek ma głównie ten cel, by wysłuchać czy głuszce na tokowisko nadciągnęły i gdzie zapadły, głuszce bowiem, żerując w dzień po skalistych górach, ze zmierzchem wieczornym zlatują się zewsząd na ulubione miejsce toku i usiadłszy na wysokiej jodle, pozostają zwykle na miejscu aż do świtu. Wśród ciszy wieczornej nawet ze znacznej odległości rozpoznać można łomot skrzydeł zapadającego na drzewo głuszca, który usiadłszy, odzywa się zazwyczaj parę razy, wydając ze siebie głos, w języku myśliwskim „kłapaniem“ zwany. Czasami uda się strzelić wieczorem, choć jeżeli głuszec zapadł zbyt daleko, podchodzenie go nie jest wskazanem, bo spłoszony odlatuje i już o świcie tokować nie będzie.

Ale wracam do naszego polowania.

Wkrótce po ustawieniu się na wskazanych przez leśnych stanowiskach, doszedł do moich uszu szelest skrzydeł nadciągającego głuszca, a wkrótce potem padł strzał... Usłyszałem jak gdyby coś ciężkiego upadło z wysokości na ziemię, potem krótkie trzepotanie się ptaka na ziemi i znów zaległa cisza. To pan starosta ubił koguta. Wkrótce potem powróciliśmy do koliby, bo już zupełny zmrok zapadł i nie było nadziei spotkania się z głuszcem. Huculi nasi rozłożyli tymczasem ogień przed kolibą, a ja, będąc kucharzem ekspedycyi, zabrałem się do przygotowania wieczerzy, po spożyciu której, ułożyliśmy się w kolibie do snu, ponakrywawszy się kocami i baranicami. Ja wszakże spać nie mogłem, wstałem przeto i usiadłszy na kłodzie przy ognisku, przegawędziłem tę noc ze starym Iwanem, który, pykając co chwila w charakterystyczny sposób ze swojej fajeczki, opowiadał mi swoje przygody z niedźwiedziami, a na moje słowa, że pragnę

kiedyś zapolować na nie w górach, spojrzał na mnie z niedowierzaniem i odparł:

— Oj, panoczku! medwid to ne kohut, jemu treba dobre zmiryty meży oczy, a jak ne potrafyte, to smert!

Przed świtem o godzinie w pół do 3-ciej wyruszyliśmy wraz z leśnymi i starym Iwanem, który smolną trzaską nam w drodze przyświecał, na tokowisko. Przesiedziawszy na stanowiskach do godziny 6-tej, nie widzieliśmy tego ranka wcale głuszców, kur tylko kilka gdakało w około, ale kogut żaden nie przyleciał. Prawdopodobnie były już w tem miejscu przepłoszone, bo przed nami polowali tam ś. p. dr. Kratter ze Lwowa i p. Julian Puzyna z Czarnołoziec. Zresztą śnieg zginął tam już prawie zupełnie, a tok głuszców odbywa się tylko dopóty, dopóki śnieg pokrywa wzgórza, z nastaniem zaś pory cieplejszej, odlatują głuszce na wyższe szczyty, gdzie jeszcze przez czas pewien odprawiają weselne gody.

Powróciwszy do koliby, postanowiliśmy zapuścić się głębiej w góry i za wskazówką leśnego Lisa skierowaliśmy się wśród malowniczej okolicy górskiej w górę potoku, zwanego przez hucułów „Sitny“, który jest dopływem rzeki Zielenicy, i po całodziennej prawie jeździe konnej, stanęliśmy pod wieczór na wzgórzu zwanem „Seredna hora“, leżącem wśród pasma Karpat między szczytami Gorganem i Uzirną. Zastaliśmy tu jeszcze wielkie masy śniegu, miejscami o kilkometrowej wysokości, a tak stwardniałego, iż jechaliśmy na koniach po wierzchu, nie zapadając się prawie zupełnie. Tegoż wieczora, t. j. 20 kwietnia, udało mi się podejść i ubić pięknego koguta, a towarzyszący nam leśni słyszeli jeszcze kilka innych zapadających głuszców.

Przed brzaskiem dnia następnego wyruszyli my z naszej na prędce przysposobionej koliby na górę, na obrane wieczorem stanowiska. Zaledwie na wschodniej stronie nieba zarysował się różowy rąbek świetlany, a cienie nocy zwolna rozpraszać się poczęły, usłyszałem nagle opodal tokującego głuszca... Wnet z pobliskiej jodły odezwał się drugi, potem trzeci, czwarty... a w końcu wśród tej wspaniałej muzyki, ucho moje nie było już w stanie obliczyć, ilu to artystów współzawodniczy ze sobą o palmę pierwszeństwa!... Czarowna to muzyka! nigdy w życiu nic piękniejszego nie słyszałem. Kto tej gry nie słyszał, ten wyobrazić jej sobie nie potrafi, a żadne pióro wrażeń, jakie się odnosi, określić nie jest zdolne!... Wśród chaotycznej komplikacyi tonów, wprawne ucho myśliwego rozróżni grę kogutów starych, wirtuozów w swojej sztuce, a od czasu do czasu głos słabszy i jakby niepewny — to głos młodego koguta, debiutanta, który nie umiejąc jeszcze „grać“, wtóruje starszym swoim kolegom „telękaniem“. Wszystkie te głosy łączą się w harmonijną całość, tworząc koncert wspaniały... To koncert natury, powołanej do życia czarownem tchnieniem wiosny!

Długo siedziałem jak przykuty do miejsca, wsłuchując się z rozkoszą w te obce dla mnie dotąd tony, zapomniawszy o strzelbie, którą kurczowo w ręce ściskałem. Dopiero Lis wyprowadził mnie z zadumy, a szarpnąwszy mnie za rękaw, upomniał, że czas głuszce podchodzić, bo jak się całkiem rozwidni, koguty pójdą za kurami na ziemię, a wtedy wszystko przepadło. Wstałem, a kierując się podług głosu najbliżej się odzywającego głuszca, podskoczyłem i ubiłem najpierw jednego, a wkrótce potem i drugiego koguta.

Następnego dnia ubiliśmy jeszcze z panem starostą trzy głuszce i powróciliśmy z siedmioma głuszcami do Nadwórny.

To było moje pierwsze polowanie na głuszce, a wrażenia, jakie z niego wyniosłem, nie zatrą się nigdy w mojej pamięci i odtąd zawsze, gdy pomyślę o głuszcach, tęskno mi za Karpatami i na myśl przychodzą mi słowa poety:

„W góry! w góry, miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię!“

Leopold Łysakowski.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Na wybrzeżach Amazonki.

Wybrzeża Amazonki, Madeiry i Parany w prowincyach brazylijskich Amazonas i Mato Grosso, są zawsze jeszcze ziemią obiecaną dla myśliwego i rybołowcy.

Gdy w dopływach Amazonki woda gwałtownie wzbierze, i morzem nieprzejrzanem nadbrzeżne niziny zaleje, wówczas zaczyna się życie dla rybołowcy, który puszcza się na spokojne obszary wodne. Głównym przedmiotem połowu jest dlań wówczas *Pira rucu* (*Sudis gigas*), olbrzymia ryba, należąca do brzucho-pletwowych, coś w rodzaju suma tamtejszych światów. Dochodzi ona długością do 4 metrów, a okryta jest szerokimi na trzy palce łuskami, z których każda ma rąbek szkarłatny. Po ułowieniu tej ryby, płata ją rybak na wzdłuż, wyciąga całą kość pacierzową, i rozścieliwszy mięso w połcie szerokie a na palec grube, suszy je na słońcu. Mięso to nie szczególne, mające swój właściwy i dość odrażający zapach, służy jednak za pokarm ludności olbrzymich obszarów i rozwożone tysiącami cetnarów na statkach, jest artykułem handlu od granic Peru począwszy aż ku oceanowi.

Statkom, puszczającym się w drogę na nurtach Amazonki, towarzyszy bardzo chętnie inny zwierz wodny, tj. rodzaj delfina. Porusza on się w pięknych falistych liniach, gdyż potrzeba czerpania powietrza zmusza go wychylać się co chwila ponad wodę. Czasem, oparłszy się niejako szeroką pletwą ogonową na wodzie, rzuca się cały w górę, i znowu zanurza się wśród pryskania i szumu wody. Gdy całe stadko takich delfinów, 30 do 40 sztuk, statek w porze nocnej, przy świetle księżyca otoczy, i towarzysząc mu całymi godzinami wesołe swe pląsy wyprawia — widok to zaiste bardzo uroczy i przypominający stare powieści o najadach i syrenach.

To też miejscowi indyanie i metysowie umieją o nich cudowne opowiadać legendy. Szczególniej dla kobiet mają być owe delfiny niebezpieczne. Gdy taki zuchwalec na ląd się dostanie, przybiera kształty mężczyzny i tylko po tem można go poznać, iż stopy ma w tył zwrócone. Tego jednak piękna metyska nie umie w ciemności dopatrzeć i przyjmuje delfina jako męża, a pomyłka dopiero wtedy staje się jawną, gdy rzekomy mąż, uwiódłszy kobietę, biegnie na brzeg rzeki

i rzuca się z wrzaskiem w wodę. Tak przynajmniej opowiadają indyanki i metyski — zwłaszcza wtedy, gdy im tej wymówki potrzeba.

Zabobony, przywiązane do tego zwierza, są zarazem jego ochroną, bo choć łatwo weń godzić harpunem a mięso cennego dostarcza tranu, mało na delfina polują.

Przesądy liczne odnoszą się zresztą, jak zwykle w świecie rybacko-łowieckim, i do wielu innych zwierząt. I tak „Koroadowie“ z południowych okolic nie spożywają sarniny, bo się z tego łysieje, chronią się także najsmaczniejszych części z tapira, bo żony mogą ich przestać kochać. Nie jedzą również dzikich kaczek i mięsa „kuti“, rodzaju gryzonia, dającego smaczne pieczyste, gdyż w takim razie dzieci ich miałyby pokrzywione nogi i duże uszy. Każdy myśliwy nie może spożywać ubitej przez siebie zwierzyny, bo straci bystrość oka, pewność ręki i nic już ubić nie zdoła.

Wracając do ryb, wypada wspomnieć spokrewnione z żarłaczami płaszczki *(Raides)*, metrowej przeszło długości a mające ogon zaopatrzony kolcem na palec długim, barwy szarobrunatnej, nakrapiane czarnymi plamami, z jasnym punktem w każdej plamie. Krajowcy mają niemały respekt przed tą rybą, gdyż razi ona nieostrożnych owym ostrym, drobno piłkowanym kolcem bardzo boleśnie i niebezpiecznie.

Oprócz płaszczki jest w wodach Amazonki i Madeiry i ich dopływów jeszcze inna niebezpieczna ryba, zwana „piranha“. Ryba to szeroka lecz nie duża, zaledwo na piędź długa, ale uzbrojona dwoma rzędami bardzo ostrych trójkątnych zębów, którymi śmiało atakuje. Piranhy pojawiają się całymi gromadami po kilkaset sztuk naraz, a w takim razie groźniejszem jest spotkanie się z nimi, niż z aligatorem, bo płynącego człowieka otaczają i kąsają, żywcem niemal rozszarpując.

Dla myśliwego w Mato Grosso, szukającego zdobyczy na lądzie, ciekawą a pożądaną zdobyczą jest tapir, ów gruboskórzec nowego świata, który w starym świecie tylko gdzieniegdzie w Indyach przebywa. Zgodnie z charakterem całej podrównikowej fauny amerykańskiej, dającej nam obraz miniaturowego przekształcenia kolosów zwierzęcych, jakie gorąca strefa starego świata wydała, jest tapir poniekąd miniaturą słonia, podobnie jak puma jest lwem miniaturowym, jaguar tygrysem, guanako antylopą, a lama wielbłądem w miniaturze.

Tapir jest jeszcze licznym w nizinach nad przypływami Amazonki, Madeiry i Parany, chociaż nigdy nie występuje całymi stadami. Nie lubi miejsc moczarowatych, nie zapusza się także i na bezwodne płaskowyża, najchętniej przebywa wśród owych gąszczy bambusowych, nakrytych dachem palm i wspaniałych paproci drzewnych, krórymi bujnie doliny i brzegi rzek tamtejszych porastają.

Z brzaskiem dnia wyrusza tapir poważnie ze swego legowiska ku rzece, aby użyć kąpieli i nieraz metys płynący na tratwie wpada przy nagłym skręcie rzeki na tapira, który kąpie się aż po szyję w wodzie zanurzony. Wtedy zwierz znika pod wodę, bo w pływaniu i nurkowaniu jest mistrzem, pomimo swej pozornej ociężałości. W tej sztuce pokłada widocznie najwięcej zaufania, bo gdy jest przez myśliwych ruszony i psy za nim gonią, umyka zawsze ku rzece. Wie o tem myśliwy, i dlatego też, polując na tapiry, zajmuje stanowisko na rzece, w lekkiem w zaroślach ukrytem czółnie, skąd razi przybywającego do wody tapira. Czasem jednak i strzał jest niepotrzebny, bo gdy zziajane zwierzę przez psy na wodzie jest dopadnięte, można je w czółnie podjechać, a wówczas harpun i kordelas kładą koniec jego życiu.

Tylko samica tapira z młodymi nie daje się psom z gąszczy wyruszyć. Podczas gdy młode kryje się pod jej brzuch świszcząc przeraźliwie, zwraca się tapirzyca odważnie ku atakującym psom i biada im, jeśli się pod jej krótki, wzniesiony do góry ryj i potężne zęby dostaną.

Schwytane żywcem młode tapirzątko, żywione arbuzami i młodymi pędami bambusów, da się łatwo odkarmić i oswoić. Częstokroć już trzeciego dnia staje się łaskawe jak pies i ani myśli wracać do dzikiej gąszczy. W Kurytybie, stolicy prowincyi Parana, biegał po ulicach przez kilka lat oswojony tapir, którego wszyscy żywili i na którym w zamian wszystkie łobuzy uliczne się przejeżdżały. Nawet niska temperatura, która tam w porze zimowej, tj. z końcem czerwca i lipca, nieraz do 2 i 3 poniżej zera spada, nie wiele mu dokuczyła.

Mięso tapira zbliża się smakiem do wołowiny, a najcenniejszą jego częścią, jest tłuszczem przerastałe mięso z garbu, okrytego długą szczeciną. Także ryj i nogi, dające się łatwo, podobnie jak nogi wieprzowe, w galaretowatą zulcę zamienić, są bardzo dobre. Metysi przyrządzają zresztą głowę tapira w podobny sposób, jak się u nas głowę dzika przyrządza.

Oprócz tapira, są w lasach Mato Grosso także dwa gatunki dzików, na które myśliwi tamtejsi polują. Jeden z nich jest większy, drugi mniejszy, oba gatunki jednak bez porównania mniejsze od naszych dzików. Podobna do świni, choć właściwie do rzędu gryzoniów należąca „kapibara“, *(Hydrosevus Capibara)*, dostaje się także pod lufę myśliwego, który po nadbrzeżnych gąszczach buszuje, znaczną bowiem część swego żywota chlapie się ona w wodzie.

Że nad rzekami tych nizin brazylijskich, szczególnie w czasie wylewów, także mnóstwo ptactwa wodnego, kurek, czapli i kaczek przeróżnego rodzaju się uwija, tego chyba dodawać nie potrzeba. Myśliwy, żądny strzału, ma tu więc bez ustanku sposobność do polowania.

F. K.

KORESPONDENCYE.

Rohatyn d. 20. października 1892.

(Na dziki z psami.)

Polowanie na dziki z psami jest wielce urocze — przyzna to każdy z myśliwych — choć bywa czasami połączone z niebezpieczeństwem dla myśliwego, a bardzo często kończy się kalectwem lub śmiercią poczciwych psów. Mimo to, a może właśnie dla tej emocyi, spieszymy chętnie z pieskami na dziki.

Do mnogich epizodów z nieszczęśliwych polowań na dziki, dodam jeszcze jeden.

W dniu 6. października b. r. wybraliśmy się w sześć strzelb do lasów Podgrodzia z dwoma pieskami, będącymi

własnością p. Alojzego Wczelika, Nemroda dzikarza, dzielnego i wytrwałego, który już setkami liczy dzików ubitych, a przed którego psami niejednego już dzika strzelaliśmy.

Jeden z psów obecnej psiarni p. Wczelika zwie się „Szczurek“, suka „Pijawka“ — psięta nie duże, ale zajadle biorą dziki. Liczne pozszywane blizny na ich skórze, świadczą o mnogich cięciach dzików, o walkach odbytych na śmierć lub życie.

Przybyliśmy rano do kniei zwanej „Krogulec“. Pp. Wczelik, Idzikowski i gajowy, prowadzący psy na smyczy, udali się w zapust zrębu dwudziestoletniego, my zaś udaliśmy się na linię graniczną do Kleszczówny.

Jeszcze nie byliśmy na stanowiskach znanych nam przesmyków, gdy już gon Pijawki sygnalizował natropione dziki. Po chwili odezwał się i Szczurek, oszczekując dzika w miejscu. Na przesmykach stanęli pp. W. Manasterski, za nim S. Gisges, następnie ja stanąłem, a p. Siarczyński ostatni. Umówionem było, że pp. Wczelik i Idzikowski, idąc z psami, mają do ostanowionych przez psy dzików podsuwać się i strzelać — my zaś tylko do dzików przechodzących koło naszych stanowisk.

Gon suki oddalił się od nas w kierunku przeciwnym, Szczurek zaś oszczekiwał z kwandrans dzika osadzonego w miejscu, poczem padł strzał. Głos psa ucichł, nie ma bowiem zwyczaju gonić głosem za pomykającym zwierzem. Dopiero po kilkunastu minutach usłyszeliśmy znowu naszczekiwanie Szczurka z kniei „Wołczyj puti“. Znaczyło to, że dzik przez linię obstawioną myśliwymi już przeszedł. Natychmiast więc każdy z nas zeszedł z stanowiska, udając się w kierunku głosu psa, i prawie równocześnie znaleźliśmy się na tropie dzika na drożynie, dzielącej obie te knieje. Tropy dużymi racicami dzika wygniecione, były obficie znaczone posoką, co dowodziło, że dzik był dobrze strzelony. Z relacyi p. Gisgesa dowiedzieliśmy się, że duży dzik po strzale przeszedł koło jego stanowiska, ale nie na strzał, tak, iż mimo że go widział, strzelić zaniechał. Kiedy p. G. kończył swą relacyą, padły dwa strzały w miejscu oszczekiwanego dzika, gdyż za dzikiem poszli pp. Wczelik, Idzikowski i gajowy. A że oddalenie było już znaczne, przeto postanowiliśmy zaczekać na miejscu do powrotu tych myśliwych.

Po dłuższem wyczekiwaniu, spostrzegamy nadjeżdżający do nas wóz, a na wozie p. Wczelika z głową owiniętą w chustkę krwią zbroczoną. Zerwaliśmy się, aby go z wozu zdjąć i rozpytujemy, co się stało. I otóż jego przygoda.

W „Krogulcu“ Pijawka trafiła na stado dzików, które pomknęły, a odyniec pozostał na miejscu. Tego to Szczurek oszczekiwał. P. Wczelik podsunął się pod dzika i w gąszczy strzelił raz — dzik po strzale pomknął do „Wołczych puti“, tam w debrze pies osadził go, a p. Wczelik podbiegłszy, strzelił dwa razy. Dzik pomknął dalej i uniósł się głębiej w las, gdzie go znowu pies osadził już przy pomocy Pijawki, która nadbiegła. Pp. Wczelik i Idzikowski podsunęli się gąszczą leśną przez parów. Pierwszy z nich idąc przodem, podsunął się na kroków piętnaście i w stósownej chwili strzelił do odyńca przez psy atakowanego. Wtem dzik rzuca się ku niemu, p. Wczelik strzela na dziesięć kroków po raz drugi i spostrzega niestety, że odyniec już koło niego. Napadnięty odskakuje za krzak — dzik za nim szarżuje, odbywa się gonitwa półtora raza na około krzaka — gdy wtem dzik zmienia taktykę, rzuca się przez krzak, dopada p. Wczelika, chwyta go za prawą nogę z tyłu powyżej kolana i jednym zamachem rzuca strzelcem o kilka kroków. P. Wczelik pada na grzbiet, widzi dzika nad sobą, kurczy więc nogi i nadstawia ręce, aby ochronić tułów, i wzywa psy: hedżgo, hedżgo! Poczciwe psięta w obronie swego pana rzucają się zajadle na odyńca i chwytają go z tyłu za drażliwe części tułowia, tak, iż dzik uderzywszy ryjem p. Wczelika w rękę, musiał oddać się własnej obronie. Odwróciwszy się ciął i odrzucił Pijawkę w jedną, a Szczurka w drugą stronę.

Cała ta scena rozegrała się bardzo prędko. Tymczasem Idzikowski podsunąwszy się gąszczą, spostrzegł dzika w chwili, kiedy tenże osłabiony swym ostatnim wysiłkiem, również się wywrócił. Dla wszelkiej pewności strzela do niego, a gdy się przybliżył, obaczył odyńca, dwa psy, strzelbę i kapelusz. Zaczął się tedy rozglądać i spostrzegł o kilka kroków leżącego p. Wczelika prawie nieprzytomnego. Rzuca się tedy na ratunek i wnet opatrzono i zalano wódką ranę na głowie p. W. Następnie wzięto furę wiozącą drzewo, na którą usiadł p. W. Włożono tam również i Pijawkę, bo Szczurek leżał jak nieżywy.

Gdy już pan Wczelik przyjechał do nas, wzięto na drugą furę odyńca i Szczurka, który zaczął do życia przychodzić. Miał on dwa żebra złamane i cięcie głębokie aż do płuc, tak, że przy oddechaniu powietrze raną wychodziło. Pijawce rozdarł odyniec prawą nogę od łopatki po kolano i piersi pod łopatką aż do płuc.

Opatrzywszy na prędce rany p. W., przybyliśmy do Rohatyna, gdzie dr. T. założył fachowy opatrunek.

P. Wczelik bardzo został poturbowany, ma bowiem na głowie z tyłu rany, pochodzące ze zdarcia skóry, na kilkanaście centymetrów długie i palec duży u ręki prawej zwichnięty i stłuczony. Na prawej nodze cztery zęby dzicze zaorały skórę, odnośna część odzieży została w paszczy odyńca. Najboleśniejsze jest stłuczenie, naznaczone dużym siniakiem wyżej międzykrocza, z tyłu u kończyn kości pacierzowej, tam bowiem przechodzi zwój nerwów, które zostały stłuczone ryjem dzika albo upadkiem po obaleniu myśliwego.

Odyniec jest duży, na całą furę, o wielkich pałaszach. Po obieleniu pokazało się, że miał pięć kul, ale wszystkie były w niższej połowie tułowiu, prócz ostatniej kuli p. Wczelika, ta bowiem przy strzale na sztych przeszła prawie całego odyńca koło grzbietu.

Pan Wczelik ma się dobrze, wstaje już, jakkolwiek czuje ból dotkliwy w nodze. Zapowiedział srogą zemstę rodowi dziczemu za ten ból i mitręgę. Pijawka na trzech nogach wesoło biega, tylko Szczurek ze swymi płucami nie może dojść do porządku, oddech ma trudny i powietrze zawsze jeszcze raną wychodzi.

Seweryn Manasterski.

Sprawozdania łowieckie.

W Łanowicach w Samborskiem w majątku p. Teodora Serwatowskiego polowano dnia 14 października w 6 strzelb i w 7 miotach, przy bardzo dżdżystem powietrzu, ubito 4 lisy, 8 zajęcy i dwie słonki. Lisów było po kilka w każdym miocie, do jedenastu strzelano, wiele wróciło się na nagonkę. Widziano także parę bażantów (kurę i koguta) lecz do tych nie strzelano; skąd przyleciały, niewiadomo.

W Rajtarowicach u p. Macieja Serwatowskiego polowano dnia 15. października wyłącznie na słonki i ubito 7 słonek, 4 zające i lisa. Widziano i strzelano do przeszło 40 słonek, lecz że liść na drzewie, więc na liniach strzał był bardzo trudny. Tegorocznego ciągu jesiennego słonek nie można nazwać dobrym; najlepszy był 4 października; ubito

17 sztuk. Co się tyczy innej zwierzyny, należy nadmienić, że stan sarn jest dobry, prawie każda ma dwoje, a jest i taka, co ma troje młodych. Lis rzadko tu widziany, lecz chociaż tych niszczycieli niema, nie można roku tego zaliczyć u nas do dobrych, bo zajęcy mało, i kuropatwy w stadkach tylko po kilka sztuk. Dzików kilka przechodnich miewamy tylko w jesieni, gdy owies i kartofle jeszcze w polu. W zimie tu w sąsiednich lasach żywiono zwierzynę koniczyną i szanowano lecz są jeszcze i tacy, którzy tego nie robią i u których wszystko co pod lufą, to rogacz.

Józef Wróbel.

KRONIKA.

Program wystawy krajowej r. 1894. we Lwowie obejmuje między innymi leśnictwo i łowiectwo, i spodziewać się należy, że oba te działy z całą świetnością i starannością będą zastąpione. Dnia 31. b. m. odbyło się w sali Kasy oszczędności we Lwowie posiedzenie sekcyi V. głównego komitetu wystawy, której opracowanie programu szczegółowego, wskazanie wystawców i t. d. zostało poruczone. Sekcya ukonstytuowała się w ten sposób, że wybrała przewodniczącym hr. Romana Potockiego, zastępcą hr. Tadeusza Dzieduszyckiego, referentem dla leśnictwa p. Antoniego Goralczyka, krajowego inspektora lasowego, a dla łowiectwa p. Władysława Spaustę. Obaj referenci rozwinęli już na tem posiedzeniu zapatrywania swe na sposób przedstawienia rzeczonych działów gospodarstwa krajowego, a na najbliższem przedstawią specyalny program co do wyboru przedmiotów okazowych i ugrupowania ich prawdopodobnie we wspólnym, dużym pawilonie, z potrzebnymi pobocznymi terenami dla szkółek leśnych, kloców, drzewa i t. p. Wyrażono przytem zapatrywanie, że i c. k. rząd wystąpić powinien z całą sprężystością i odpowiednimi zasobami, ażeby gospodarstwo lasowe w dobrach skarbowych przedstawić w sposób, odpowiadający godnie jego ważności i ogromowi.

Z polowań dworskich. Dnia 28 września rozpoczęły się polowania górskie cesarza Franciszka Józefa w Mürzsteg. O godzinie 2 po północy, wśród gęstej mgły, zalegającej okolicę, wyruszył cesarz w towarzystwie króla saskiego Alberta na „Schneealpe“, gdzie przy podchodnem król ubił dwunastaka, poczem ruszono wyżej na stanowiska polowania z nagonką. Pochód ten wymagał czterogodzinnego marszu pod górę, który cesarz odbył z całą swobodą, świadczącą o niespożytych i wśród myśliwskiego trudu zahartowanych siłach. Gon rozpoczął się o godzinie 2 po południu, ubito 2 jelenie, 4 łanie, i 28 kozic, z których 3 padły z ręki cesarza, a 7 od strzałów króla Alberta.

Ryś. Na polowaniu w lasach Boryniańskich, na granicy węgiersko-galicyjskiej, zastrzelił stacyonowany w Samborze nadporucznik 77 pp., Jan Stransky, rysia, mierzącego 130 cent. na długość a 70 cent. na wysokość.

Konkurencya myśliwska. Na ciekawą konkurencyę myśliwską natrafił w lipcu t. r. arcyksiążę Józef August, polując w lasach Szamosz na Węgrzech. Wybrawszy się na podchodne z wabikiem, ujrzał w ciągu wabienia orła bielika, który przyleciał i nad nim krążył. Za chwilę pojawił się kozioł, padł strzał i kozioł runął na miejscu, lecz w tejże chwili spadł na niego i orzeł jak kula z niebiosów. Drugim strzałem położył więc arcyksiąże orła na trupie swej pierwszej zdobyczy.

Lis w ucieczce przed deszczem. Pewien leśnik z Imoski w Dalmacyi opowiada rzecz następującą, zaręczając, iż nie ma w tem ani słówka myśliwskiej łaciny:

„Dnia 2. sierpnia popołudniu udałem się do odległej szkółki lasowej. Niebo było wprawdzie zachmurzone, nie myślałem jednak, aby miała nastąpić gwałtowna ulewa, zresztą na wypadek ulewy liczyłem na budkę, stojącą przy szkółce. Już dochodziłem do budki, gdy wtem otworzyły się istne szluzy niebieskie, grom bił po gromie i błyskawice krzyżowały się na czarnem tle niebios. Przyspieszyłem kroku, wskoczyłem do budki wraz z moim „teklem“ i stałem tam już może z jaki kwadrans, gdy wtem wpadł do budki z przerażającą szybkością lis, usiadł w psiej pozycyi i począł się mnie i mojemu teklowi przypatrywać. „Puc Jokel!“ zawołałem na psa, lecz nim ten się rzucił, już i lis miał czas namyśleć się, że jest w niebezpieczeństwie i dał drapaka, a tekel za nim. Mokre ślady w budce upewniły mnie, że nie było to złudzenie optyczne.“

Zapewne był to znowu egzemplarz lisa chowanego, który wrócił do kniei.

Taniec ptaków. W porze słania gniazd ptaki samce starają się przywabić samice nietylko głosem, lecz i rozmaitymi pozami, zalecającymi się właściwym sobie wdziękiem. Nierzadko spotykamy się tu i z próbami tańca. Do nich np. zaliczyć należy poważne kroki pawia, gdy z rozpostartym kulisto ogonem krąży koło samicy. Jeszcze lepiej daje się to zauważyć u głuszców. Zdarza się często spotkać starego głuszca, tańczącego przed stadkiem samic. W tym celu wybiera on zazwyczaj małą polanę wśród głębokich lasów, staje w środku stadka, opuszcza skrzydła do ziemi, podnosi głowę i defiluje przed samicami krokiem przypominającym poważny taniec.

Ptaki w porze gnieżdżenia się wyrażają często zadowolenie ruchami skocznymi według pewnych ustalonych prawideł. Widocznie doznają uczucia podobnego jak ludzie, u których ruchy taneczne wyrażają większy stopień zadowolenia, niż stan spokoju, a posiadają przytem tę wyższość, iż owe ruchy taneczne są im dostępne na przestrzeni znacznie większej niż ludziom, mianowicie w powietrzu. Poruszenia miarowe całych stad należy również zaliczyć do kategoryi tańców, np. krążenie jaskółek i jerzyków, które przed zachodem słońca zakreślają szerokie koła w powietrzu, wydając nieustanne, przeciągłe krzyki „*hii-hii*“. W tym czasie nie uganiają jerzyki za owadami, gdyż przy tem zajęciu nigdy żadnego głosu nie wydają. Widocznie oddają się wtedy jedynie przyjemności latania, zatrzymując pewną miarę w locie i odstępy między sobą. Te powietrzne walce są daleko mniej męczące od naszych i dla wytrzymałego w locie ptaka stumetrowa przestrzeń bywa łatwiejszą do przebycia, niż metr posadzki w salonie dla niejednego tancerza. Rozmaite manewry powietrzne innych ptaków mają prawdopodobnie takie samo znaczenie; trudniej jednak czynić nad nimi obserwacyę niż nad poruszeniami tanecznymi na powierzchni ziemi.

Już w początkach bieżącego stulecia znanym był Humboldtowi taniec południowo-amerykańskiego koguta skalnego, ptaka wielkości gołębia, z przepysznem czerwono-żółto-złotem upierzeniem. Ptaki te wybierają miejsce płaskie i usuwają z niego odłamki kamieni i drzewa. Jeden ptak staje w środku, inne zaś zajmują miejsce po bokach. Tancerz zaczyna powoli taniec wolny i powabny, w rodzaju menueta którego tempo stopniowo się wzmaga w ruchach szybkich i gwałtownych, po których ptak pada wyczerpany, a jego miejsce zajmuje inny.

Ciekawe spostrzeżenie zrobił w Brazylii znany podróżnik Bigg Witbers. Pewnego wieczoru w gęstwinie odwiecznego lasu usłyszał śpiew ptaka. Towarzysz jego radził mu iść w stronę, skąd śpiew dochodził, zaręczając, iż ujrzy coś niezmiernie ciekawego. Ostrożnie więc przedzierali się przez gąszcz leśny, dopóki nie ujrzeli małej leśnej polany. Mnóstwo małych ptaszków wielkości sikory, jasno-niebieskich z czerwonymi czubkami, siedziało tam na kamieniach i na poblizkich gałęziach. Niektóre z nich zachowując się spokojnie, inne

zaś poruszając nóżkami i skrzydełkami tańczyły do taktu, akompaniując sobie cichym świergotem. Podróżny obserwował je przez dłuższy czas i wyniósł przekonanie, że ptaszki na swoim balu w połączeczeniu z koncertem bawiły się doskonale.

I nasze ptaki zdradzają upodobanie do poruszeń tanecznych. Oswojone żurawie, witając się z człowiekiem, rozpościerają skrzydła i podskakują komicznie. Zdarza się i w ogrodach zoologicznych widzieć ptaki wyprawiające zapawne pląsy, przyczem wydają często przeraźliwe krzyki. U niektórych gatunków ibisów, daje się zauważyć to samo zjawisko co u jerzyków. Podczas lata całe stado ogarnia nagle jakiś wesoły szał. Wzbijają się wysoko w powietrze, z niesłychaną szybkością spadają ku ziemi, podnoszą się nanowo, gonią się wzajemnie i napełniają powietrze krzykami.

We wszystkich wyżej wymienionnych przykładach taniec był wyrazem zadowolenia, rozkoszy; bywają jednak ptaki, u których staje się on czemś w rodzaju ceremonialnego artystycznego popisu. Ornitolog Hudron z La Platy opowiada, że żóraw tamtejszy, podobny do europejskiego, lecz większy, ruchliwszy i ładniej upierzony, żyje parami i nie znosi zazwyczaj, aby obcy przybysz pokazywał się na terytoryum przez niego zajętem. Żórawie, przybywające w odwiedziny w zamiarach przyjaznych, przy pierwszem spotkaniu z gospodarzami danej okolicy zaczynają tańczyć taniec poważny, coś w rodzaju ptasiego kontredansa. W tańcu bierze zawsze udział trzy ptaki. Ptaki te, pisze Hudron, doznają tak wielkiej przyjemności w tańcu, iż można je widzieć tańczące kilka razy na dobę: przed wschodem słońca, wieczorem, a czasami nawet podczas jasnych nocy księżycowych. Gość, przybywający w odwiedziny z zachowaniem wszystkich form towarzyskich, jest bardzo mile witany. Para żórawi wylatuje na jego spotkanie, puszcza go naprzód i wydaje głośne okrzyki radości. Po dopełnieniu rozmaitych zabawnych i zawsze jednakowych ceremonij, ptaki rozstają się, gość wraca do siebie i zaczyna z kolei sam przyjmować wizyty.

Ilość lisów w Szwecyi jest jeszcze zawsze zastraszająca i tamująca wszelką racyonalną gospodarkę łowiecką. Wedle czasopisma „Svenska, Jägarförbundets Nuya Tidskrift“ ubito w ciągu r. 1890. w jednym tylko okręgu administracyjnym (lahn): 836 lisów, 9 orłów, 27 puhaczy, 309 jastrzębi i 8.717 wron i wzięto za to przeszło 1.594 koron nagrody. Obliczono natomiast, że w obrębie tego samego okręgu zrabowały drapieżne zwierzęta gospodarzom 31 owiec i 2.359 sztuk drobiu, wartości 2.272 koron.

Nowe przybitki. P. Władysław Kryński w Warszawie wynalazł i zaleca nowe przybitki do broni myśliwskiej, mające uchylać wszystkie te niedostatki, które używanym pospolicie przybitkom towarzyszą, tj. niedokładne przystawanie do wewnętrznych ścian lufy i przepuszczanie gazów, wyrzucających pocisk, dzięki swej prężności. Przybitki p. Kryńskiego odznaczają się większą elastycznością niż przybitki z gutaperchy, i zachowują tę własność nawet po dłuższem leżeniu, a strzał śrutowy przy użyciu tych przybitek, zapobiega zbyt wielkiemu rozrzucaniu śrutu. Dalszą korzyścią ma być czyste utrzymanie lufy, gdyż każda przybitka wymiata i unosi z sobą dokładnie cały osad strzału poprzedniego.

Przysposobianie rzeczonych przybitek, mianowicie w większych ilościach, ma być wcale łatwe i niekosztowne. Materyałami do sporządzenia dotyczącej masy są: opiłki korkowego drzewa, olej lniany, glejta i olej rycynusowy. Recepta przyrządzania masy jest następująca: Olej lniany z dodatkiem 4 procent glejty gotuje się na pokost dopóty, dopóki nie nabierze gęstości syropu, poczem bierze się 260 do 300 dekagramów takiego pokostu, rozgrzewa się je na 25 do 30 stopni C. i wśród bezustannego mieszania wsypuje się do niego 100 dekagramów opiłek korkowych, a przy końcu dodaje się około 5 dekagramów oleju rycynowego. Otrzymaną w ten sposób masę poddaje się następnie pod ciśnienie 5 do 20 atmosfer, wedle grubości żądnych przybitek, i wciska się ją w odnośne formy, tak, aby zbyteczny tłuszcz się wydzielił, a masa przybrała kształt pożądany. Otrzymane w ten sposób przybitki są sprężyste i łykowate, nie będąc wcale lepkimi, a olej rycynowy utrzymuje w nich powyższe własności nawet po dłuższem leżeniu.

Kozice w Styryi mogą wkrótce stać się tylko pięknem wspomnieniem przeszłości, jeśli łowy na nie nie zostaną we właściwy sposób umiarkowane. W pismach niemieckich czytamy, że książe August Sachsen- Coburg- Gotha, polując dnia 20 września b. r. z nagonką w rewirze Mössna, ubił na jednem stanowisku 30 kozic! To trochę za dużo!

Struś odznacza się, jak wszystkim wiadomo, strawnością zazdrości godną. Wszak żołądek jego stał się już przysłowiowym. Mimo to rzeczywistość jest w tej mierze jeszcze jaskrawszą, niż najśmielsze nawet przypuszczenia.

W parku Lugduńskim zadusił ułaskawionego strusia jakiś niegodziwiec. Rano znaleziono go nieżywym. Nastąpiła więc sekcya i oto wykaz przedmiotów, które w strusim żołądku znaleziono: 2 kilogramy kamieni żwirowych, 3 fajeczki gliniane, nóż w oprawie miedzianej długości 20 centymetrów, 25 guzików uniformowych, monetę 50-centymową, 32 sztuk centymów, kawałki łańcuszków od zegarka, cygarniczkę i drut na 10 centym. długi, którym przebitą była ściana żołądka. Mimo całego tego arsenału, struś cieszył się dobrem zdrowiem i gdyby nie zbrodnicza ręka, nie byłby zapewne tak rychło zginął na niestrawność.

Pomoc w potrzebie. Pan K., wyszedłszy rankiem na podchodne, ubił właśnie capa i wypatroszywszy go należycie, wziął go z konieczności na siebie, żeby choć do wsi zejść z tą szczęśliwą choć ciężką zdobyczą, gdy wtem przystąpił doń żandarm i zapytał o kartę na broń.

— Ach, mam ją gdzieś — rzekł pan K. wydobywając gruby pugilares — zaraz poszukam, zaraz...

I począł przewracać banknoty, recepisy, kwity, cały stos papierów — lecz nadaremnie.

— Mój Boże! gdzież ją mogłem zapodzieć? — mówił na wpół do siebie z miną zafrasowaną. — Chyba w domu została...

I znowu przewracał papiery, lecz bez skutku.

— Ha, w takim razie muszę panu strzelbę odebrać — rzekł żandarm z miną urzędową, i w istocie odebrał panu K. piękną dubeltówkę.

Puścili się następnie razem przez przykre ścieżki i manowce górskie do wsi, pan K. z kozłem na plecach, żandarm z dwoma sztukami broni palnej na ramieniu. Gdy już byli pod wsią, siedli, aby odpocząć. Pan K. przywołał przechodzącego chłopaka wiejskiego i oddał mu kozła, żeby go odniósł do domu, poczem jeszcze raz wyjął pulares, żeby fatalnej karty na broń poszukać. I — o cudo! — karta znalazła się zaraz na wierzchu. Żandarm oglądnął ją, przeprosił i zwrócił broń myśliwemu. W oczach pana K. błyszczał przytem uśmiech filuterny.

— Ach, jakże to dobrze! — zawołał. — Z kozłem i z dubeltówką nie byłbym chyba zlazł z tej przeklętej góry!

W ciągu bieżącego miesiąca opuści prasę kieszonkowy kalendarz łowiecko-leśniczy „Łowca“ i będzie w magazynie broni A. Dzikowskiego we Lwowie po 1·20 złr. do nabycia.

Pojedyncze numera „Łowca" nabyć można po cenie 50 ct. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie, ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.